

Nowa Wiosna
Robert Jordan

Powietrze Kandoru wciąż jeszcze tchnęło świeżością nowej wiosny, kiedy Lan wrócił do kraju, o którym od zawsze wiedział, że w nim właśnie umrze. Na drzewach pojawiła się pierwsza czerwień nowych pędów, a tam, gdzie cienie nie przywarły do łań śniegu, brązowiła w zimie trawę nakrapiały z rzadka dzikie kwiaty.

Niemniej jednak blade słońce dawało niewiele ciepła w porównaniu z ziemiami południa, porywisty wiatr ciął przez kaftan, a szare chmury zwiastowały nie tylko deszcz. Był już prawie w domu. Prawie.

Stopy setek pokoleń wędrowców oraz kopyta ich wierzchowców i koła pojazdów tak ubiły szeroki trakt, że jego nawierzchnia stała się niemal równie twarda jak kamień z okolicznych wzgórz – kurzu więc unosiło się nad nim niewiele, mimo że po porannym handlowaniu targowiska w Canluum opuszczał nieprzerwany strumień zaprzężonych w woły fur, a w stronę szarych murów miasta zdążyły sznury wysokich kupieckich wozów, otoczone oddziałami strażników w stalowych hełmach i zbrojach. Tu i ówdzie połyskiwał łańcuch na piersi kandoryjskiego kupca, dzwonki w warkoczach jakiegoś Arafelianina, czyjeś męskie ucho zdobił rubin, brosza z perłami kobiecą pierś, niemniej jednak przyodziewek większości handlarzy był równie ponury jak ich nastroje. Kupiec, który za bardzo chełpił się swoimi zyskami, przekonywał się, jak trudno mu dobić z kimś targu. Inaczej było z rolnikami – przybywając do miasta, wręcz ostentacyjnie dawali znać, jak to im się powodzi. Workowate spodnie krocących dumnie wieśniaków dekorowały jaskrawe hafty, a ich płaszcze rozdymały się butnie na wietrze. Niektóre kobiety nosiły kolorowe wstążki we włosach albo zdobiły swe szaty wąskim kołnierzem z futra. Wystrojeni byli niczym na tańce i uczyły z okazji Bel Tinę. Ale obcym przyglądali się równie czujnie jak strażnicy, patrzyli spode łba, potrząsali włóczniami lub toporami i spieszyli dalej. Jakieś nerwowe piętno znaczyło obecne czasy w Kandorze, może i na całych Ziemiach Granicznych. Minionego roku bandyci rozplenili się niczym chwasty, a i Ugór przysparzał więcej niepokojów niż zazwyczaj. Krążyły nawet plotki o mężczyźnie, który przynosił Jedyną Moc, ale to z kolei był raczej klasyczny temat wszelkich plotek.

Lan, prowadząc swego konia w kierunku Canluum, zwracał równie mało uwagi na spojrzenia, które przyciągali on i jego towarzysze, jak na krzywe grymasy i kąśliwe uwagi Bukamy. Bukama wychowywał go od kolebki, pospołu z innymi mężczyznami, obecnie już nieżyjącymi, i Lan nie potrafił sobie przypomnieć innego niżli chmurny wyrazu na tej wyniszczonej twarzy, nawet wtedy, gdy Bukama go za coś chwalił. Tym razem zrzędził na temat naruszonego na kamieniach kopyta, z powodu którego musiał

iść pieszo, ale on zawsze potrafił znaleźć powód do gderania.

Istotnie przyciągali uwagę: dwaj wyjątkowo rośli mężczyźni prowadzący wierzchowce i konia jucznego z dwoma postrzępionymi wiklinowymi koszami na grzbiecie. Ich proste odzienie było zniszczone i ubrudzone od podróży, lecz uprząż i broń – w bardzo dobrym stanie. Młodzieniec i starzec, z włosami opadającymi na ramiona i przytrzymywanymi na skroniach splecionym rzemykiem. *Hadori* przykuwała wzrok. Zwłaszcza tutaj, na Ziemiach Granicznych, gdzie ludzie mieli jakieś pojęcie, co oznacza.

– Durnie – burknął Bukama. – Myślą, że jesteśmy bandytami? Myślą, że zamierzamy ich wszystkich obrabować, w biały dzień, na środku gościńca? – Zrobił wzdartliwą minę i poprawił miecz na biodrze w sposób, który natychmiast sprawił, że w oczach wielu kupieckich strażników rozbłyśły iskierki uważnych spojrzeń. Jakiś krzepki rolnik pognał batem swego wołu, obchodząc ich szerokim łukiem.

Lan nie odpowiedział. Ci Malkieri, którzy nadal nosili *hadori*, cieszyli się swoistą reputacją, lecz bynajmniej nie bandytów, ale przypomnienie o tym Bukamie mogło jedynie wprowadzić go w ponury nastrój, i to na wiele dni. Jego pomrukiwania dotyczyły teraz szans zdobycia porządnego łóżka na tę noc, a przedtem porządnego posiłku. Bukama rzadko narzekał, gdy nie było ani łóżka, ani posiłku; narzekał zazwyczaj na brak perspektyw i jakieś błahostki. Oczekiwał niewiele i wierzył w jeszcze mniej.

Lan nie zaprzętał sobie głowy ani jedzeniem, ani noclegiem, mimo odległości, jaką pokonali. Stale odwracał głowę w stronę północy. Jego świadomość wypełniali wszyscy ludzie w pobliżu, zwłaszcza ci, którzy zerkali na niego częściej niż raz, a także pobrzękiwanie uprzęży i chrzęst siodeł, postukiwania podków, trzepotanie płótna źle zamocowanego do pałaków wozów. Każdy nienaturalny dźwięk odbierał niczym krzyk. Tak brzmiała pierwsza lekcja, której Bukama i jego przyjaciele udzielili mu w dzieciństwie: Zwracaj uwagę na wszystko, nawet gdy śpisz. Tylko martwi mogą sobie pozwolić na beztroskę. Lan zwracał uwagę na wszystko, choć Ugór przecież rozpościerał się daleko na północy. Wiele mil za wzgórzami, a mimo to czuł go, czuł zniekształcenie rozkładu.

Tylko igraszki wyobraźni, choć niewiele odbiegające od rzeczywistości. Ugór przyciągał go, kiedy znajdował się na południu, w Cairhien i w Andorze, nawet w Łzie, odległej o blisko pięćset lig. Dwa lata z dala od Ziemi Granicznych – prywatną wojnę porzucił dla innej i z każdym dniem czuł coraz silniejsze przyciąganie Ugoru. Dla większości ludzi oznaczał on śmierć. Śmierć i Cień, gnijąca kraina skażona oddechem Czarnego, gdzie zabić może dosłownie wszystko. Dwa rzuty monetą zdecydowały, gdzie zacząć od nowa. Z Ugorem graniczyły cztery państwa, ale front wojny obejmował całą granicę, od Oceanu Aryth po Grzbiet Świata. Każde miejsce było równie dobre jak inne, by zetrzeć się ze śmiercią. Był już prawie w domu. Prawie

z powrotem na Ugorze.

Mury Canluum otaczała sucha fosa o szerokości pięćdziesięciu kroków i głębokości dziesięciu. Przerzucono nad nią pięć szerokich kamiennych mostów z wieżami na obu końcach równie wysokimi jak te, które stały wzdłuż muru. Zagony trolloków i Myrddraali z Ugoru często docierały głębiej w obszar Kandoru niż tylko do Canluum, ale nigdy nie udało im się pokonać murów miasta. Nad każdą z wież powiewał Czerwony Jeleń. Lord Varan, Głowa Domu Marcasiev, był człowiekiem pełnym pychy; królowa Ethenielle nie wywieszała aż tak wielu sztandarów nawet w samym Chachin.

Strażnicy przy zewnętrznych wieżach, w hełmach zwieńczonych jelenimi rogami – znakiem lorda Varana – i z Czerwonym Jeleniem na piersiach, sprawdzali budy wozów, zanim pozwalali im się wtoczyć na most, co jakiś czas też skinieniem ręki nakazywali komuś, by odchylił kaptur. Wystarczył sam gest; prawo we wszystkich Ziemiach Granicznych zabraniano skrywać twarz w obrębie wioski albo miasta, a zresztą nikt nie chciał, by wzięto go omyłkowo za Bezokiego, który próbuje wdrzeć się ukradkiem do ludzkiej siedziby. Lana i Bukame odprowadzały twarde spojrzenia, kiedy przejeżdżali przez most. Ich twarze było widać wyraźnie. A także *hadori*. A jednak w tych obserwujących oczach nie pojawił się błysk rozpoznania. Dwa lata to długi czas na Ziemiach Granicznych. W ciągu dwóch lat wielu ludzi mogło umrzeć.

Lan zauważył, że Bukama umilkł, co zawsze stanowiło zły znak, ostrzegł go więc.

– Ja nigdy nie sprowadzam kłopotów – zachnął się starszy mężczyzna, ale przestał gładzić rękojeść miecza.

Strażnicy stojący na murze nad okutymi żelazem otwartymi bramami podobnie jak ci na moście zamiast pełnych zbroi nosili jedynie napierśniki, ale byli nie mniej czujni, zwłaszcza dwóch Malkieri z włosami związanymi z tyłu głowy. Bukama z każdym krokiem coraz gniewniej zaciskał usta.

– Al'Lanie Mandragoran! Oby Światłość nas uchroniła, słyszeliśmy, żeś ponoć poległ, walcząc z Aielami u Lśniących Murów! – Te słowa padły z ust młodego strażnika, wyższego od innych, prawie tak rosnącego jak Lan. Był młody, może rok albo dwa od niego młodszy, choć wydawało się, że dzieli ich lat dziesięć. Całe życie. Strażnik skłonił się głęboko, wspierając lewą rękę na kolanie. – *Tai'shar Malkieri* – rzekł, co znaczyło: „Prawdziwa krew Malkier”. – Trwam w gotowości, Wasza Wysokość.

– Nie jestem królem – odparł cicho Lan.

Malkier już nie istniała. Istniała tylko wojna. Przynajmniej w jego duszy.

Bukama nie zmilczał.

– Trwasz w gotowości na co, chłopcze? – Grzbiet nagiej dłoni uderzył w napierśnik strażnika, tuż nad Czerwonym Jeleniem, sprawiając, że mężczyzna wyprężył się i zrobił krok w tył. – Strzyżesz włosy krótko i nie przewiązujesz ich! – wycedził jadownicie. – Jesteś zaprzysiężony jakiemuś kandoryjskiemu lordowi! Jakim prawem twierdzisz, żeś Malkieri?

Młodemu mężczyźnie poczerwieniała twarz, kiedy plątał się w odpowiedziach. Inni strażnicy ruszyli w ich stronę, ale zatrzymali się, kiedy Lan wypuścił wodze z rąk. Tylko tyle, teraz wszakże znali już jego imię. Gniadego ogiera, stojącego nieruchomo i czujnie za jego plecami, zmierzli wzrokiem niemal równie ostrożnie, jak przyjrzeni się samemu Lanowi. Rumak bojowy to potężna broń, a zresztą nie mogli wiedzieć, że Koci Tancerz przeszedł dopiero połowę szkolenia.

Wokół nich zrobiło się nieco luźniej. Ludzie, którzy już przeszli przez bramy, przyspieszali kroku i dopiero potem odwracali się, by popatrzeć, natomiast ci na moście cofnęli się jak jeden mąż. Z obu stron dobiegały okrzyki tych, którzy chcieli wiedzieć, co tamuje ruch. Bukama nie zwracał na to wszystko uwagi, patrząc zawzięcie na strażnika z poczerwieniałą twarzą. Nie wypuścił z rąk wodzy ani jucznego konia, ani swego deresza.

Z kamiennego budynku straży w obrębie wieży bramnej wyłonił się jakiś oficer. Pod pachą trzymał hełm z pióropuszem, ale drugą dłoń, w rękawicy ze stalowym wierzchem, wspierał na rękojeści miecza. Alin Seroku, szorstki, siwiejący mężczyzna z twarzą pociętą białymi bliznami, wojował przez czterdzieści lat na granicy z Ugorem, a mimo to na widok Lana nieznacznie wytrzeszczył oczy. Najwyraźniej on też słyszał opowieści o jego śmierci.

– Oby cię Światłość opromieniła, lordzie Mandragoran. Syn el’Leanny i al’Akira, niech pamięć o nich będzie błogosławiona, jest tu zawsze mile witany. – Oczy Seroku błysnęły w stronę Bukamy, ale nie było w nich radości. Rozstawiwszy szeroko nogi, stanął pośrodku bramy. Z obu stron mogło go bez trudu wyminąć pięciu konnych, ale on uważał się za kratę i w istocie nią był. Żaden z gwardzistów nie drgnął nawet, jednak dłonie wszystkich jak na komendę sięgnęły do rękojeści mieczy. Wszyscy, oprócz najmłodszych, odpowiedzieli Bukamie takimi samymi groźnymi spojrzeniami. – Lord Marcasiev rozkazał nam za wszelką cenę zachować spokój – ciągnął Seroku, na poły przepraszająco. Ale tylko na poły. – W mieście wrze. Wszystkie te opowieści o przenoszącym mężczyznę są dostatecznie złe, ale w tym miesiącu i wcześniej dochodziło do mordów na ulicy i do dziwnych wypadków, w biały dzień. Ludzie szepczą, że w murach miasta kręci się Pomiot Cienia.

Lan lekko skinął głową. Bliskość Uguru powodowała, że ludzie zawsze przebąkaliwali o Pomiocie Cienia, kiedy nie znajdowali żadnego innego wytłumaczenia dla czyjejs nagłej śmierci czy niespodziewanie złych zbiorów. Nie ujął jednak wodzy

Kocięgo Tancerza.

– Zamierzamy tu odpocząć kilka dni, nim udamy się na północ – wyjaśnił.

Przez chwilę myślał, że Seroku jest zdziwiony. Czy ten człowiek spodziewał się obietnic spokojnego zachowania albo przeprosin za Bukamę? Jedno i drugie w tej chwili przyniosłoby Bukamie wstyd. Byłoby szkoda, gdyby jego wojna miała się skończyć tutaj. Lan nie chciał ginąć, zabijając Kandoryjczyków.

Stary przyjaciel odwrócił się od młodego strażnika, który stał, dygocząc, z pięściami zaciśniętymi u boków.

– Cała wina jest moja – obwieścił Bukama beznamiętnym głosem, jakby nie kierował tych słów do nikogo. – Nie mam wytłumaczenia na to, co zrobiłem. Na imię mojej matki, utrzymam pokój lorda Marcasia. Na imię mojej matki, nie będę dobywał miecza w murach Canluum.

Seroku opadła szczeka, a Lan z trudem ukrył wstrząs. Wahając się tylko przez chwilę, oficer z pobliżoną twarzą odstepił na bok, kłaniając się i dotykając rękojeści miecza, a potem serca.

– Lan Mandragoran Dai Shan jest tu zawsze mile widziany – powiedział ceremonialnie. – A także Bukama Marenellin, bohater Salinarny. Obyście obaj któregoś dnia zaznali pokoju.

– Pokój znajdziesz w ostatnim uścisku matki – odparł Lan równie oficjalnie, dotykając miecza i serca.

– Oby ona powitała nas w domu, któregoś dnia – dokończył Seroku. Nikt tak naprawdę nie tęsknił za grobem, ale na Ziemiach Granicznych było to jedyne miejsce, po którym człowiek mógł oczekiwać spokoju.

Bukama, z twarzą przywodzącą na myśl żelazo, ruszył przodem, ciągnąc za sobą Słoneczną Lancę i konia jucznego. Nie zaczekał na Lana, co nie wróżyło nic dobrego.

Canluum było miastem pobudowanym z kamienia i cegły, jego brukowane ulice wiły się wśród wysokich wzgórz. Najazd Aielów wprawdzie nie dosięgł nigdy Ziemi Granicznych, niemniej jednak echa wojny zawsze osłabiały aktywność handlową, nawet z dala od pól bitewnych, a teraz, kiedy skończyły się już i walki, i zima, miasto wypełniło się ludźmi z wszystkich krajów. Mimo że Ugór praktycznie stał u bram miasta, kamienie szlachetne wydobywane z okolicznych wzgórz przysparzały Canluum bogactw. I, o dziwo, także najlepszych w świecie krawców. Okrzyki sokolników i sklepikarzy zachwalających swoje towary wzbijały się ponad pomruk tłumy, docierający na sporą odległość od tarasowych targowisk. Na wszystkich skrzyżowaniach dawali przedstawienia barwnie odziani muzycy, zonglerzy albo akrobaci. Kilka lakierowanych powozów przedzierało się z kołysaniem przez gęstą masę ludzi, wozów, fur i ręcznych wózków, a konie ze złoconymi albo posrebrzanymi siodłami i uzdami torowały sobie drogę przez ciżbę; przyodziewek ich jeźdźców był

haftowany równie zdobnie jak uprzęż zwierząt i obrzeżony futrem z lisów, kun oraz gronostajów. Ulice rzadko gdzie były puste. Lan dostrzegł nawet kilka Aes Sedai, kobiet o spokojnych twarzach, pozbawionych piętna upływu lat. Sporo ludzi musiało je rozpoznawać na pierwszy rzut oka, bo w tłumie tworzyły się nagle zawirowania, ludzie rozstępowali się, żeby dać im przejście. Szacunek albo przezorność, groza lub strach stanowiły dostateczny powód, by sam król ustąpił z drogi siostrze. Kiedyś można było przez rok nie uświadczyc Aes Sedai nawet na Ziemiach Granicznych, ale teraz wydawało się, że są wszędzie, odkąd poprzednia Zasiadająca na Tronie Amyrlin umarła przed kilkoma miesiącami. Może to przez te opowieści o mężczyźnie przenoszącym Moc – gdyby była prawdziwa, nie pozwoliłyby mu długo wędrować samopas. Lan nie patrzył na nie. Już sama *hadori* mogła wystarczyć, by ściągnąć uwagę siostry szukającej Strażnika.

Zaskakiwały osłaniające twarze wielu kobiet woale z cienkiej koronki, przejrzystej jedynie na tyle, aby widać było oczy – choć nikt nigdy nie widział kobiety Myrddraala, Lanowi nie powstałoby w głowie, że prawo może stanowić o zwykłej modzie. Niebawem pewnie zdejmą lampy oliwne wiszące rzędami przy ulicach, by noce mogły szernieć. Bardziej jeszcze niż woale zaskakiwało to, że Bukama, choć zmierzył spojrzeniem kilka tak wystrojonych kobiet, w ogóle nie otwiera ust. Potem tuż przed nim przejechał obdarzony wydatnym nosem mężczyzna o imieniu Nazar Kurenin, a on nawet nie mrugnął. Tamten młody strażnik z pewnością urodził się już po tym, jak Ugór wchłonał Malkier, ale Kurenin, z włosami ostrzyżonymi na krótko i z widlastą bródką, był dwakroć starszy od Lana. Lata nie wymazały do końca śladów po jego *hadori*. Takich jak Kurenin spotykało się wielu i jego widok powinien był sprowokować Bukamę do kolejnej tyrawy. Lan spojrział z troską na przyjaciela.

Zdążali jednostajnie ku centrum miasta, wspinając się w stronę najwyższego wzgórza, zwanego Stanicą Jeleni. Cały jego szczyt zajmowała bardziej podobna do fortecy niż do pałacu siedziba lorda Marcasieva, niżej zaś, na tarasach, wznosiły się domostwa ostatnich lordów i lady. Każdy próg na tych zboczach oferował ciepłe powitanie dla al'Lana Mandragorana. Być może cieplejsze, niż obecnie pragnął. Bale i polowania z udziałem arystokratów spraszanych nawet z miejsc oddalonych o pięćdziesiąt mil, włącznie z mieszkającymi na granicy z Arafel. Czyli ludzi, którzy łaknęli usłyszeć o jego „przygodach”. Zarówno młodych mężczyzn pragnących razem z nim dokonywać najazdów na Ugór, jak i starców, którzy chcieli porównywać z nim swoje doświadczenia. Kobiety żądnych dzielić łóżę z mężczyzną, którego, jak zapewniały głupie opowieści, Ugór nie był zdolny zabić. W Kandorze i Arafel bywało równie źle jak na południu – wśród tych kobiet zdarzały się mężatki. A także mężczyźni tacy jak Kurenin, którzy dokładali wszelkich starań, by zatrzeć wspomnienia o utraczonej Malkier, oraz kobiety, które przestały już malować na czole

ki'sain na dowód, że zaprzysięgną swych synów, by walczyli z Cieniem, póki im starczy tchu. Lan potrafił ignorować te fałszywe uśmiechy człowieka tytułowanego al'Lan Dai Shanem – koronowanego władcy bitew i niekoronowanego króla narodu, który został zdradzony, kiedy on był jeszcze w kołysce. Bukama, w swoim obecnym nastroju, był zdolny do mordów. Albo czegoś jeszcze gorszego, biorąc pod uwagę jego przysięgi złożone przy bramach. Dotrzyma ich do śmierci.

– Varan Marcasiev zatrzyma nas na tydzień albo i dłużej z całym ceremoniałem – powiedział Lan, skręcając w węższą ulicę, która wiodła od Stanicy. – Z tego, cośmy słyszeli o bandytach i im podobnych, wynika, że będzie równie uszczęśliwiony, jeśli się nie pojawię, żeby mu się pokłonić. – Było to całkiem prawdopodobne. Spotkał Głowę Domu Marcasiev tylko raz, przed wieloma laty, ale zapamiętał go jako człowieka oddanego wyłącznie swoim powinnościom.

Bukama poszedł za nim bez słowa skargi, że ominie go pałacowe łoża albo uczty. To było doprawdy niepokojące.

W kotlinach przy drodze wiodącej do północnego muru próżno było szukać pałaców, natykali się jedynie na sklepy i tawerny, gospody, stajnie i dziedzińce dla wozów. Przy długich magazynach faktorów było gwarno i tłoczno, ale do dzielnicy zwanej Odmetami nie zapuszczały się powozy; na większości ulic z trudem mieściły się zwykłe firy. Niemniej jednak ludzi kręciło się tam tyle samo i panował taki sam hałas. Tutaj ulicznym artystom brakowało nieco polotu, ale nadrabiali to wrzawą, a kupujący i sprzedający jednako zdzierali gardła, jakby chcieli, by ich słyszano na następnej ulicy. Zapewne w tej ciżbie była moc kieszonkowców i innych opryszków najrozmaitszego autoramentu, którzy właśnie pomyślnie zakończyli poranne interesy albo kierowali się tutaj na popołudniową zmianę. Nic dziwnego, skoro w mieście przebywało tylu kupców. Za drugim razem, gdy czyjeś niewidzialne palce musnęły w tłumie jego kaftan, Lan schował sakiewkę pod koszulę. Każdy bankier udzieliłby mu pożyczki pod zastaw shienarańskiego majątku, który nadano mu po osiągnięciu wieku męskiego, ale utrata złota, które miał przy sobie, zmusiłaby go do skorzystania z gościnności Stanicy Jeleni.

W pierwszych trzech oberżach, do których zawitali – bryłach z szarego kamienia krytych spadzistymi dachami i z kolorowymi szyldami od frontu – oberżyści nie mieli nawet klitki do zaoferowania. Pomniejsi handlarze i strażnicy kupieccy wypełniali je aż po poddasza. Bukama zaczął mrużyć o legowisku na jakimś stryszku z sianem, ale nic nie wspominał o puchowych materacach i lnianej pościeli czekających w Stanicy. Pozostawiwszy konie u stajennych z „Niebieskiej Róży”, czwartej z kolei oberży, Lan wszedł do środka, zdecydowany znaleźć jakieś miejsce dla nich, choćby miało mu to zająć resztę dnia.

Siwiejąca kobieta, wysoka i przystojna, doglądała spraw w tłocznej głównej izbie,

gdzie odgłosy rozmów i śmiechy niemal zagłuszały szczupłą młodą śpiewaczkę przygrywającą sobie na cytrze. Fajkowy dym owiewał belki stropowe, a od kuchni napływał zapach pieczonej jagnięciny. Na widok Lana i Bukamy oberżystka obciągnęła nerwowo fartuch i ruszyła w ich stronę z ostrym spojrzeniem w ciemnych oczach.

Lan nie zdążył nawet otworzyć ust, gdy chwyciła Bukamę za uszy, pociągnęła mu głowę w dół i pocałowała go. Kobietom z Kandoru rzadko zależało na prywatności, ale i tak był to nadzwyczaj rzetelny pocałunek na oczach tyłu ludzi. Przy stołach zamigotały wycelowane palce i szydercze uśmiechy.

– Ciebie też dobrze znowu widzieć, Racelle – wymamrotał Bukama z nieznacznym uśmieszkiem, kiedy go nareszcie puściła. – Nie wiedziałem, że masz tu oberżę. Czy myślisz...? – Spuścił wzrok, zamiast spojrzeć jej bezczelnie w oczy, i to się okazało błędem. Pięść Racelle trafiła go w szczękę z taką siłą, że aż włosy rozwiały mu się na ciśniętej w tył głowie.

– Sześć lat bez słowa – warknęła. – Sześć lat! – Schwyciwszy go znowu za uszy, obdarzyła go kolejnym pocałunkiem, tym razem dłuższym. Czy raczej wzięła sobie pocałunek, miast nim obdarzyć. A potem każda jego próba zrobienia czegokolwiek, by tylko nie stać zgięty wpół i nie pozwalać jej robić tego, co chce, spotykała się z silnym szarpnięciem za ucho. Przynajmniej nie mogła wbić Bukamie noża w serce, kiedy go całowała. Być może.

– Myślę, że pani Arovni mogłaby znaleźć jakąś izbę dla Bukamy – odezwał się sucho znajomy męski głos za plecami Lana. – I dla ciebie też, jak przypuszczam.

Odwróciwszy się, Lan uchwycił obiema dłońmi przedramiona jedyne go prócz Bukamy mężczyzny w izbie, który dorównywał mu wzrostem. Ryne Venamar, jego najstarszy przyjaciel, nie licząc Bukamy. Oberżystka nadal zajmowała uwagę Bukamy, kiedy Ryne prowadził Lana do niewielkiego stołu w kącie izby. O pięć lat odeń starszy Ryne też był Malkieri, ale włosy miał zebrane w dwa warkocze z wplecionymi dzwoneczkami, kolejne srebrne dzwoneczki zdobiły wywrócone cholewy butów i biegły przez rękawy żółtego kaftana. Bukama nie żywił nadmiernej awersji do Ryne'a, niemniej w jego obecnym nastroju jedynie pojawienie się Nazara Kurenina mogło mieć gorszy efekt.

Kiedy obaj usadowili się już na ławach, usługująca dziewczyna w pasiastym fartuszkach przyniosła im grzanego wina przyprawionego korzeniami. Najwyraźniej Ryne złożył zamówienie, gdy tylko zobaczył przyjaciela. Obdarzona ciemnymi oczyma i pełnymi wargami dziewczyna otwarcie zmierzyła Lana wzrokiem od stóp do głów, kiedy stawiała przed nim kielich, po czym szepnęła mu do ucha swoje imię – Lira – a wraz z nim zaproszenie, gdyby miał się tu zatrzymać na noc. Lan miał chęć jedynie na sen, toteż spuścił wzrok, mrużąc, że to dla niego zbyt wielki zaszczyt.

Lira nie pozwoliła mu dokończyć. Z chrapliwym śmiechem pochyliła się, by ugryźć go w ucho – z całej siły – a potem oznajmiła, że do pierwszego brzasku chętnie będzie go tak zaszczycać, że aż ugną się pod nim kolana. Po okolicznych stołach poniósł się jeszcze głośniejszy śmiech.

Ryne zareagował pierwszy. Rzucił jej okazałą monetę i klepnął po dolnej części pleców, żeby ją odprawić. Lira wsunęła srebro za dekolt, obdarzając go przy tym uśmiechem z dołeczkami, ale na odchodnym obrzuciła Lana namiętymi spojrzeniami. Westchnął. Gdyby teraz spróbował odmówić, mogła nawet dobyć noża wobec takiej zniewagi.

– A więc wciąż dopisuje ci szczęście z kobietami. – W śmiechu Ryne’a słyszało się rozdrażnienie. Może sam upodobał sobie dziewczynę. – Światłość wie, że nie mogą cię uważać za przystojnego, z każdym rokiem stajesz się coraz szpetniejszy. Może powinienem spróbować trochę tej bojaźliwej skromności, pozwolić, by kobiety wodziły mnie za nos.

Lan otworzył usta, ale zamiast coś powiedzieć, upił łyk wina. Nie musiał się tłumaczyć, niemniej to właśnie ojciec Ryne’a zabrał go do Arafel w roku, w którym ukończył dziesięć lat. Mężczyzna ów nosił wprawdzie jeden miecz przy biodrze zamiast dwóch na plecach, był jednak Arafelianinem od stóp do głów i często zagadywał kobiety, które nie odezwały się do niego pierwsze. Lan, wychowany przez Bukamę i jego przyjaciół w Shienarze, dorastał pośród niewielkiej społeczności, która zachowywała obyczaje Malkieri.

Sporo ludzi w izbie obserwowało ich stół, spoglądając ukradkiem znad kubków i pucharów. Pulchna miedzianoskóra kobieta nosząca suknię z materii znacznie grubszej, niżli to miały w zwyczaju kobiety Domani, nie starała się ukrywać swoich spojrzeń, kiedy mówiła coś z podnieceniem do jegomościa z podkreślonymi węsami i wielką perłą w uchu. Prawdopodobnie zastanawiała się, czy przez Lirę nie będzie jakichś kłopotów i czy mężczyzna noszący *hadori* rzeczywiście jest gotów zabijać nawet wtedy, gdy ktoś choćby upuści szpilkę.

– Nie spodziewałem się spotkać cię w Canluum – powiedział Lan, odstawiając kielich. – Strzeżesz jakiejś karawany kupieckiej?

Bukama i oberżystka gdzieś się zapodziali. Ryne wzruszył ramionami.

– Z Shol Arbeli. Pilnowałem wozów najszcześliwszego handlarza w Arafel, jak powiadają. Powiadali. Nie na wiele to mu się zdało. Przybyliśmy wczoraj i w nocy bandyci poderżnęli mu gardło dwie ulice dalej. Nie dostanę reszty pieniędzy za tę wyprawę. – Błysnął smutnym uśmiechem i upił głęboki łyk wina, może opijając pamięć kupca, może utraconą połowę zarobku. – Ażebym szezeł, jeśli się spodziewał zobaczyć cię tutaj.

– Nie powinieneś słuchać plotek, Ryne. Odkąd pojechałem na południe, nie

odniosłem rany wartej wzmianki. – Lan postanowił, że jeśli dostaną obiecaną izbę, wypyta Bukamę, czy już została opłacona, a jeśli tak, to w jaki sposób. Reprimenda być może wydobędzie go z ponurego nastroju.

– Aielowie – parsknął Ryne. – Nawet przez moment nie wierzyłem, że uda im się ciebie wykończyć. – Sam, rzecz jasna, nigdy nie wypróbował swych sił z Aielami. – Spodziewałem się, że będziesz tam, gdzie akurat jest Edeyn Arrel. Czyli obecnie w Chachin.

Na dźwięk tego imienia Lan gwałtownie odwrócił głowę w stronę mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stołu.

– Czemu miałbym być blisko lady Arrel? – spytał cicho. Cicho, ale podkreślając przynależny jej tytuł.

– Spokojnie, człowieku – odparł Ryne. – Nie chciałem... – Roztropnie nie dokończył zdania. – Ażebym szczeł, chcesz powiedzieć, żeś nie słyszał? Została wyniesiona na tron Złotego Żurawia. W twoim imieniu, ma się rozumieć. Wraz z nastaniem nowego roku wyjechała z Fal Moran do Maradonu i teraz wraca. – Ryne potrząsnął głową, cicho pobrzękując dzwoneczkami w warkoczach. – Tu w Canluum jest jakich dwustu albo trzystu ludzi gotowych pójść za nią. Znaczy się za tobą. Nie uwierzyłbyś, słysząc o niektórych. Stary Kurenin łkał, kiedy jej słuchał. Wszyscy gotowi znów wykroić Malkier z Ugoru.

– „To, co umiera w Ugorze, odchodzi bezpowrotnie” – zacytował zmęczonym głosem Lan. Wewnątrz odczuwał coś znacznie bardziej dojmującego niż chłód. Nagle zdziwienie Seroku, że zamierzał udać się na północ, nabrało nowego znaczenia, podobnie jak zapewnienie młodego strażnika, że trwa w gotowości. Nawet spojrzenia w tej głównej izbie jakby nabrały odmiennego wyrazu. A więc za tym wszystkim kryje się Edeyn. Zawsze lubiła stawać w samym sercu burzy. – Muszę zajrzeć do mojego konia – powiedział Ryne’owi, głośno odsuwając ławkę.

Ryne bąknął coś o wyprawie po tawernach tej nocy, ale Lan ledwie go słyszał. Pospiesznie przeszedł przez kuchnie tchnące żarem żeliwnych pieców, kamiennych piecyków i otwartych palenisk, wyszedł na chłód dziedzińca stajennego przepełnionego mieszaniną zapachów bijących od koni, siana i drzewnego dymu. Na skraju dachu stajni śpiewał skowronek. Skowronki przylatywały wiosną jeszcze wcześniej niż drozdy. Skowronki śpiewały w Fal Moran, kiedy Edeyn po raz pierwszy szeptała mu do ucha.

Konie zostały już wprowadzone do stajni, uzdy, siodła i sakwy leżały na derkach przy drzwiach przegrody, ale wiklinowe kosze zniknęły. Najwyraźniej pani Arovni przekazała stajennym, że on i Bukama otrzymają pokoje.

W ciemnej stajni nie było nikogo oprócz wygarniającej gnój szczupłej kobiety o surowej twarzy. Nie przerywając pracy, patrzyła w milczeniu, jak Lan, stąpając

w słomie, dogląda Kocięgo Tancerza i innych koni. Próbował pozbierać myśli, ale w głowie stale wirowało mu imię Edeyn. Jej twarz okolona jedwabistymi, sięgającymi do pasa czarnymi włosami, piękna twarz o wielkich, ciemnych oczach, które potrafiły wessać duszę mężczyzny nawet wtedy, gdy był w nich tylko rozkaz.

Po jakiejś chwili stajenna mruknęła coś w jego stronę, dotykając przy tym warg i czoła, a potem pospiesznie wytoczyła do połowy wypełniony wózek ze stajni, oglądając się przez ramię. Przystanęła, by zatrzasnąć wrota, również pośpiesznie, i zamknęła go w mroku rozjaśnionym jedynie odrobiną światła padającego z otworu, przez które ze stryszku zrzucano siano. W jasnozłoty promieniach wirowały drobiny kurzu.

Lan skrzywił się. Czyżby aż tak się bała mężczyzny noszącego *hadori*? Dostrzegła zagrożenie w samych jego ruchach? Nagle zauważył, że jego dłonie błędzą po długiej rękojeści miecza, poczuł napięcie mięśni twarzy. Chód? Nie, wykonał układ kroków zwany Lampartem w Wysokiej Trawie, stosowany wtedy, gdy przeciwnicy otaczają szermierza ze wszystkich stron. Potrzebował spokoju.

Usadowiwszy się ze skrzyżowanymi nogami na słomie, uformował w umyśle obraz płomienia i wprowadził doń emocje, nienawiść, strach, wszystko, wszystko do ostatka, aż owładnęło nim wrażenie, że unosi się w pustce. Po latach ćwiczeń osiągnięcie *ko'di*, jedności, trwało krócej niż jedno uderzenie serca. Myśl i nawet jego własne ciało wydawały się odległe, ale w tym stanie był bardziej świadom wszystkiego niż zazwyczaj, stając się jednym z tą słomą, ze stajnią, z mieczem w pochwie leżącym z tyłu. „Czuł” konie skubiące paszę, i muchy, które bzykały w zakamarkach pomieszczenia. To wszystko stanowiło jego część. Zwłaszcza miecz. Tym razem jednak szukał tylko pozbawionej emocji pustki.

Z sakwy przy pasie wyjął ciężki złoty sygnet zdobny wizerunkiem żurawia w locie i jął go obracać w palcach. Pierścień królów Malkier, noszony przez mężczyzn, którzy stawiali odpór Cieniowi od co najmniej dziewięciuset lat. Przerabiano go niezliczone razy, w miarę jak niszczył go czas, zawsze ten sam stary pierścień, który przetapiano, aby uczynić zeń nowy. Wciąż mogła w nim istnieć jakaś cząsteczka pierścienia noszonego przez władców Rhamdasharu, który istniał jeszcze przed Malkier, i władców Aramaelle, które istniało przed Rhamdasharem. Gruda metalu, która symbolizowała ponad trzy tysiące lat walk z Ugorem. Należał doń od urodzenia, ale nigdy go nie nosił. Nawet patrzenie na pierścień wiązało się zazwyczaj z wielkim wysiłkiem. Wysiłkiem, do którego przymuszał się codziennie. Nie sądził, by tego dnia to mu się udało bez doświadczenia pustki. W *ko'di* myśl unosiła się swobodnie, a emocje kryły za horyzontem.

W kołysce otrzymał cztery podarunki. Ten pierścień, który teraz obracał w dłoniach, zamykany medalion wiszący na szyi, miecz przy biodrze i przysięgę

złożoną w jego imieniu. Medalion był najcenniejszy, największą wagę miała przysięga. „Opierać się Cieniowi, póki żelazo twarde, a kamień nieugięty. Bronić Malkieri do ostatniej kropli krwi. Mścić to, czego nie dało się obronić”. A potem został namaszczony olejem i nazwany Dai Shanem, konsekrowany na nowego króla Malkier i zabrany z ziemi, która wiedziała, że czeka ją śmierć. Na tamtą wyprawę wyruszyło dwudziestu mężczyzn, do Shienaru dotarło pięciu.

Nie zostało nic do obrony, jedynie naród do pomszczenia, i do tego szkolono go od czasu, gdy zrobił pierwszy krok. Z darem od matki na szyi i mieczem ojca przy biodrze, z piętnem pierścienia odcisniętym w sercu od swych szesnastych imienin walczył, by pomścić Malkier. Nigdy jednak nie poprowadził żołnierzy do Ugoru. Jeździł z nim Bukama i inni, ale tam nie poprowadził nikogo. Ta wojna należała wyłącznie do niego. Martwych nie da się wskrzesić – ani człowieka, ani ziemi. A jednak Edeyn Arrel chciała teraz tego dokonać.

Jej imię rozbrzmiało echem w wypełniającej go pustce. Sto emocji groźnie majaczyło w pustce, podobnych do nagich górskich szczytów, ale dopóty karcił nimi płomień, dopóki wszystko się nie uspokoiło. Dopóki rytm jego serca nie zgrał się z powolnym postukiwaniem kopyt zamkniętych w przegrodach koni, dopóki furkotanie muszych skrzydeł nie stało się nagłym kontrapunktem dla jego oddechu. Ona była jego *carneira*, jego pierwszą kochanką. Krzyczała o tym tysiącletnia tradycja, krzyczała wbrew tej martwocie, która nim oładnęła.

On miał piętnaście lat, Edeyn zaś dwakroć tyle, albo i więcej, gdy zebrała w dłonie włosy, które jemu nadal zwisały do pasa, i zdradziła szeptem swe intencje. W owym czasie kobiety ciągle jeszcze nazywały go urodziwym, radując się jego rumieńcami, ona zaś przez pół roku uwielbiała paradować z nim pod ramię i wciągać go do swego łóża. Dopóki Bukama i inni nie dali mu *hadori*. Dar miecza na dziesiąte imieniny, zgodnie z obyczajem obowiązującym wzdłuż Granicy, uczynił zeń mężczyzną – o wiele lat za wcześniej – a mimo to wśród Malkieri ta przepaska ze splecionego rzemyka była ważniejsza. Kiedy już raz obwiązano mu nią głowę, decydował samodzielnie, dokąd pójdzie, kiedy i dlaczego. A mroczna pieśń Ugoru stała się wyciem, które wchłaniało każdy inny dźwięk. Przysięga, która od jakże dawna mruczała w jego sercu, stała się rytmem, do którego poruszały się w tańcu jego stopy.

Edeyn patrzyła, jak odjeżdżał z Fal Moran przed dziesięciu laty, a kiedy wrócił, jej z kolei już nie było, a mimo to wciąż pamiętał jej twarz wyraźniej niż twarz każdej innej kobiety, z którą od tamtego czasu dzielił łóżo. Nie był już małym chłopcem, by sądzić, że kochała go tylko dlatego, iż postanowiła zostać jego pierwszą kochanką, a jednak wśród ludu Malkier znane było porzekadło: „Twoja *carneira* zawsze nosi część twojej duszy niczym wstążkę we włosach”. Działo się tak za sprawą obyczaju

równie silnego jak prawo.

Zaskrzybiało jedno ze skrzydeł wrót stajni i ukazał się w nich Bukama, w koszuli wetkniętej niechlujnie do spodni. Bez miecza wyglądał jak nagi. Ostrożnie, jakby się wahał, otworzył na oścież oba skrzydła i dopiero wtedy wszedł do środka.

– Co zamierzasz? – spytał w końcu. – Racelle powiedziała mi o... o Złotym Żurawiu.

Lan schował pierścień, uwalniając pustkę. Twarz Edeyn zdawała się unosić wszędzie, tuż poza zasięgiem wzroku.

– Ryne mówi, że nawet Nazar Kurenin jest gotów pójść – odparł niefrasobliwym tonem. – Czyż to nie byłoby wspaniałe widowisko? – Przy próbie pokonania Ugoru mogła zginąć cała armia. I rzeczywiście ginęły tak całe armie. Ale wspomnienia Malkier już umierały.

Naród stawał się takim samym wspomnieniem jak jego kraj. – Tamten chłopak przy bramach mógłby zapuścić włosy i poprosić ojca o *hadori*. – Ludzie zapominali, starali się zapomnieć. Czy kiedy umrze ostatni mężczyzna, który przewiązuje sobie włosy, ostatnia kobieta, która maluje sobie czoło, Malkier też przestanie istnieć? – No jakże, Ryne mógłby nawet pozbyć się tych warkoczy. – Wszelkie ślady rozbawienia zniknęły z jego głosu, kiedy dodał: – Ale czy to warte tej ceny? Niektórzy zdają się tak uważać.

Bukama parsknął wprawdzie, ale nic nie powiedział. Być może należał do tych właśnie, którzy tak uważają.

Starszy mężczyzna energicznym krokiem podszedł do przegrody, w której stała Słoneczna Lanca, i zaczął majstrować przy jej siodle, jakby nagle zapomniał, po co w ogóle ruszał się z miejsca.

– Wszystko ma swoją cenę – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Ale są ceny i ceny. Lady Edeyn... – Zerknął na Lana, po czym stanął z nim twarzą w twarz. – To ona zawsze domagała się każdego prawa i wymagała wypełnienia najdrobniejszych zobowiązań. Obyczaj nakłada na ciebie wędzidło i cokolwiek byś wybrał, pociąga za wodze, dopóki nie znajdziesz sposobu, by tego uniknąć.

Lan z rozmysłem wsunął kciuki za pas miecza. Bukama wywiózł go z Malkier na własnych plecach. Ostatni z pięciu. Bukama miał prawo mówić, co chce, nawet kiedy to dotyczyło *carneiry* Lana.

– Jak, twoim zdaniem, miałbym się uwolnić od swoich zobowiązań, unikając hańby? – spytał ostrzej, niż zamierzał. Zrobił głęboki wdech i powiedział, łagodniejszym już głosem: – Chodź, w głównej izbie pachnie znacznie lepiej niż tutaj. Ryne zaproponował, byśmy tego wieczoru przeszli się po tawernach. Chyba że pani Arovni oczekuje czegoś od ciebie. A, właśnie... ile nas będą kosztowały te izby?

Czyste? Mam nadzieję, że są niezbyt drogie.

Bukama ruszył wraz z nimi do drzwi stajni. Poczzerwieniała mu twarz.

– Niezbyt – zapewnił pospiesznie. – Dla ciebie posłanie na poddaszu, a ja... hm... ja przenocuję w izbach Racelle. Też miałbym chęć na taką przechadzkę, ale Racelle chyba... chyba mi nie pozwoli... Ja...

Młoda jędza! – warknął. – Jest tu pewna dziewczyna imieniem Lira, która rozgłasza wszem i wobec, że tej nocy ani nie skorzystasz z posłania, ani nie zaznasz wiele snu, nie sądz więc, że możesz sobie...! – Urwał, kiedy wyszli na światło słoneczne, oślepiające po mroku w stajni.

Skowronek wciąż śpiewał o wiosnie.

Przez pusty dziedziniec maszerowało sześciu mężczyzn. Sześciu zwykłych mężczyzn z mieczami, jakich można było spotkać na dowolnej ulicy w tym mieście. A mimo to Lan wiedział, zanim ich ręce choć drgnęły, zanim ich wzrok skupił się na nim, zanim przyspieszyli kroku. Zbyt wiele walk stoczył z takimi, którzy chcieli go zabić, by teraz nie wiedzieć. I u jego boku stał Bukama, związany przysięgami, które nie pozwoliłyby mu podnieść na nikogo ręki, nawet gdyby miał przy sobie swój miecz. Gdyby obaj spróbowali wrócić do stajni, ci ludzie zaatakowałiby ich, zanim zdążyliby zatrzaskać wrota. Czas zwolnił, płynął niczym stężały miód.

– Do środka i zarygluj drzwi! – warknął Lan. Jego ręka wędrowała już ku rękojeści. – Bądź mi posłuszny, żołnierzu!

Nigdy w życiu nie wydał Bukamie rozkazu w taki sposób i mężczyzna zawahał się na mgnienie oka, po czym wykonał oficjalny ukłon.

– Moje życie należy do ciebie, Dai Shanie – powiedział stłumionym głosem. – Jestem ci posłuszny.

Kiedy Lan ruszał już do przodu, by stawić czoło napastnikom, usłyszał głuchy szcęk opadającej sztaby. Poczuł ulgę, ale jakby z oddalenia. Dryfował w *ko'di*, stał się jednym z mieczem, który wysliznął się gładko z pochwy. Jednym z mężczyznami, którzy pędzili prosto na niego, głucho łomocząc butami o twardo ubity grunt i obnażając stal.

Na czoło wysforował się mężczyzna podobny do wychudłej czapli i Lan zaczął tańczyć formy. Czas niczym stężały miód. Skowronek śpiewał, a chudy wrzasnął przeraźliwie, kiedy Przecinanie Chmur odjęło mu prawą dłoń, Lan zaś płynnym ruchem uskoczył w bok, by pozostali nie mogli zaatakować go hurmą, przeszedł płynnie od formy do formy. Miękki Deszcz o Zmierzchu rozplątał twarz grubemu mężczyźnie i odebrał mu lewe oko, ale cienki jak szczapa rudowłosey młodzieniec rozplątał Lanowi żebra Czarnymi Kamykami na Śniegu. Tylko w opowieściach można się zmierzyć z sześcioma przeciwnikami naraz, nie odnosząc obrażeń. Rozkwitająca Róża odrąbała lewe ramię łysego mężczyźnie, za to rudowłosey naznaczył stałą powiekę Lana. Tylko w opowieściach można się zmierzyć

z sześcioroma przeciwnikami naraz, nie odnosząc obrażeń. O tym wiedział od samego początku. Obowiązek jest ciężki jak góra, śmierć lekka jak pióro, a jego obowiązek wiązał z Bukamą, który dźwigał go kiedyś na własnych plecach. Ale żył jeszcze, więc walczył, kopiąc rudowłosego w głowę, tańcem torując sobie drogę ku śmierci, tańczył i odnosił rany, krwawił i tańczył na ostrej krawędzi między życiem a śmiercią. Czas niczym stężały miód, płynący od formy do formy – zakończenie mogło być tylko jedno. Myśl stała się odległa. Śmierć była piórkiem. Żonkil na Wietrze otworzył gardło jednookiemu teraz grubemu mężczyźnie – Lan niemal się nie zatrzymał, masakrując mu twarz – a osobnik z widlastą bródką i ramionami jak u kowala głośno wciągnął oddech ze zdziwienia, kiedy Całowaniem Żmii stał Lana przeszły mu serce.

I nagle Lan zorientował się, że stoi samotnie, a dziedziniec stajni jest usłany ciałami napastników. Rudowłosy po raz ostatni zabębnił piętami o ziemię i w tym momencie Lan stał się jedynym spośród wszystkich siedmiu, który jeszcze oddycha. Strząsnął krew z głowni, pochylił się, by wytrzeć ostatnie krople o kaftan zbyt cienki jak na kowala, po czym wsunął miecz do pochwy ruchem tak ceremonialnym, jakby ćwiczył formy pod okiem Bukamy.

Naraz z oberży wylał się strumień ludzi, kucharek i stajennych, pokojówek i gości. Wszyscy krzyčeli, koniecznie chcąc się dowiedzieć, co było przyczyną tego hałasu, i wytrzeszczali oczy na widok zabitych. Pierwszy podszedł do Lana Ryne, z mieczem w ręku, z obojętną twarzą.

– Sześciu – mruknął, przypatrując się ciałom. – Ty naprawdę masz cholerne szczęście Czarnego.

Ciemnooka Lira podeszła do Lana zaledwie chwilę przed Bukamą, oboje delikatnie rozchylali cięcia na jego odzieniu, by obejrzeć rany. Drżała nieznacznie przy każdej znalezionej, ale wzięła udział w dyskusji, czy należy posłać po Aes Sedai, która by go Uzdrowiła, i ile mu trzeba założyć szwów. Mówiła tonem równie spokojnym jak Bukama, choć z oburzeniem odrzuciła jego propozycję szycia, obiecując, że sama weźmie igłę do ręki. Pani Arovni obchodziła dookoła scenę rzezi, zadzierając spódnice, żeby ich nie unurzać w krwawym błocie, i łypiąc groźnie na trupy zaścielające dziedziniec przed jej stajnią, głośno narzekając na bandytów, którzy nigdy by się nie włóczyli w świetle dziennym, gdyby Straż Nocna przykładła się do swojej pracy. Kobieta Domani, która przypatrywała się Lanowi w oberży, zgodziła się z nią równie głośno i za swoje utyskiwania otrzymała ostre polecenie od oberżystki, by sprowadziła strażników, wraz z kuksańcem, który wprawił ją w ruch. To, że pani Arovni tak potraktowała jednego ze swych gości, mówiło wiele o tym, jak jest wstrząśnięta, to zaś, że kobieta Domani pobiegła bez słowa, powiedziało wiele o tym, jak wszyscy są wstrząśnięci. Oberżystka, nie przestając pomstować na bandytów, zaczęła dyrgować ludźmi, by usunęli ciała.

Ryne przeniósł wzrok z Bukamy na stajnię, jakby nie rozumiał, co zaszło – może zresztą rzeczywiście nie rozumiał – ale powiedział:

– Moim zdaniem to raczej nie byli bandyci. – Wskazał na mężczyznę o posturze kowala. – Ten przysłuchiwał się Edeyn Arrel, kiedy tu była, i spodobało mu się to, co usłyszał. Jeden z tamtych też, jak mi się zdaje. – Pokręcił głową, pobrzękując przy tym dzwoneczkami. – Sprawa jest osobliwa. Po raz pierwszy powiedziała o wzniesieniu sztandaru Złotego Żurawia wtedy, gdy doszły nas słuchy, żeś poległ pod Lśniącymi Murami. Twoje nazwisko przyciąga ludzi, ale po twojej śmierci ona byłaby el'Edeyn. – Rozłożył ręce na widok spojrzeń, które posłali mu Lan i Bukama. – Ja nie oskarżam – zapewnił pospiesznie. – Nigdy bym nie oskarżył lady Edeyn o coś takiego. Jestem pewien, że serce ma czułe i łaskawe, jak przystało na kobietę.

Pani Arovni chrząknęła, a Lira mruknęła pod nosem, że piękny Arafelianin nie bardzo się zna na kobietach.

Lan potrząsnął głową. Edeyn mogła zdecydować, że każe go zabić, jeśli to będzie współgrało z jej zamysłami, mogła zostawić rozkazy tu i tam na wypadek, gdyby pogłoski na jego temat okazały się nieprawdziwe, ale jeśli nawet tak uczyniła, wciąż nie było powodu, by wymawiać jej imię w związku z tym, co tu zaszło, zwłaszcza przy obcych.

Ręce Bukamy znieruchomiały, gdy rozwarła rozcięcie w rękawie Lana.

– Dokąd stąd pojedziemy? – spytał cicho.

– Do Chachin – odparł po chwili Lan. Zawsze istniał jakiś wybór, ale czasem wszystkie możliwości były jednak ponure. – Będziesz musiał zostawić Słoneczną Lancę. Chcę wyjechać jutro z pierwszym brzaskiem. – Jego sakiewka znacznie schudnie, gdy sprawi Bukamie nowego wierzchowca.

– Sześciu! – warknął Ryne, wsuwając gwałtownie miecz do pochwy. – Chyba pojedę z wami. Wolałbym nie wracać do Shol Arbela, dopóki się nie upewnię, że Ceiline Noreman nie obarczy mnie winą za śmierć swojego męża. I dobrze będzie znowu zobaczyć łopoczącego na wietrze Złotego Żurawia.

Lan skinął głową. Położyć rękę na sztandarze i poniechać tego, co sobie obiecał przed tyloma laty, albo powstrzymać ją, jeśli zdoła. Tak czy inaczej będzie musiał się zmierzyć z Edeyn. Walka z Ugorem z pewnością byłaby znacznie łatwiejsza.

Pogoń za widmem prorocstwa, stwierdziła Moiraine pod koniec pierwszego miesiąca, niewiele miała w sobie ze smaku przygody, była za to bolesna z powodu obtarć od siodła i frustrująca. Nieodwołalna konieczność stosowania się do Trzech Przysiąg wywoływała wrażenie, że pierzchnie jej skóra. Okiennice zaszczekały na wietrze, przesunęła ciężkie drewniane krzesło, przeganiając zniecierpliwienie łykiem herbaty bez miodu. W kandoryjskim domu żałoby wygody przykrawano do minimum.

Nie byłaby całkiem zdziwiona, gdyby zobaczyła szron na rzeźbionych w liście meblach albo na metalowym zegarze ustawionym nad zimnym paleniskiem.

– To wszystko było takie dziwne, moja lady – westchnęła pani Najima i po raz dziesiąty przytuliła swoje córki. Trzynasto-, może czternastoletnie Colar i Eselle, stojące przy krześle matki, miały jej długie czarne włosy i wielkie niebieskie oczy pełne żalu. Oczy matki, w twarzy skurczonej od tragedii, też wydawały się duże, a jej prosta szara suknia wyglądała jak uszyta na roślejszą kobietę. – Josef zawsze uważał na latarnie w stajni i nigdy nie pozwalał wnosić otwartego ognia, pod żadną postacią. Chłopcy pewnie zabrali małego Jerida, żeby sobie popatrzeć na ich ojca przy pracy, i... – Kolejne głuche westchnienie. – Wszyscy znaleźli się w potrzasku. Jakim sposobem cała stajnia tak szybko stanęła w płomieniach? To zupełnie nie ma sensu.

– Niewiele z tego, co się dzieje, nie ma sensu – pocieszyła ją Moiraine, odstawiając filiżankę na mały stolik, tuż obok łokcia. Współczuła jej, ale kobieta zaczynała się już powtarzać. – Nie zawsze możemy dostrzec powód, ale możemy pocieszać się wiedzą, że jakiś istnieje. Koło Czasu wplata nas do Wzoru tak jak chce, ale sam Wzór to dzieło Światłości.

Musiała stłumić grymas, gdy dotarła do niej treść własnych słów. Tę rotę należało wypowiadać z namaszczeniem i powagą, na które z racji młodego wieku nie było jej stać. Gdyby tylko czas potrafił biec szybciej. Za pięć lat powinna osiągnąć pełnię sił i nabyć niezbędnego dostojenstwa i powagi. Ale z kolei wyraźny brak piętna wieku na obliczu, który przychodził wraz z dostatecznie długim paraniem się Jedyńą Mocą, jedynie by jej utrudnił obecne zadanie. W żadnym razie nie mogła sobie pozwolić na to, aby ktoś powiązał jej wizyty ze sprawami Aes Sedai.

– Jako rzeczesz, moja lady – mruknęła uprzejmie druga kobieta, ale niebacznym ruch jasnych oczu zdradził jej myśli: Ta cudzoziemka jest głupim dzieckiem. Mały niebieski kamyk kesierey zwisający z cienkiego złotego łańcuszka na czole Moiraine oraz ciemnozielona suknia z biegnącymi przez pierś sześcioma podbitymi innym kolorem rozcięciami – mimo że miała prawo do znacznie liczniejszych – sprawiały, że pani Najima uważała ją za poślednią cairhieńską szlachciankę, jedną z wielu wędrujących po świecie od czasu, gdy Aielowie zrujnowali Cairhien. Szlachcianka z pomniejszego domu, o imieniu Alys, a nie Moiraine, która składała wizyty kondolencyjne, sama w żałobie po swym królu zabitym przez Aielów. Tę fikcję utrzymywała bez trudu, mimo że w najmniejszej mierze nie opłakiwała śmierci swego wuja.

Być może wyczuwając, że jej myśli są aż nadto widoczne, pani Najima powiedziała szybko:

– Tu idzie o to, że Josef miał zawsze wiele szczęścia, moja lady. Wszyscy tak mówili. Powiadali, że kiedy Josef Najima wpadnie do jakiej dziury, to na dnie

znajdzie opale. Kiedy odpowiedział na wezwanie lady Kareil, by walczyć z Aielami, zamartwiałam się, a on tymczasem wyszedł z tego bez jednego zadrapania. Kiedy wybuchł dur, nie tknął ani nas, ani dzieci. Josef wkradł się do łask lady, nawet się nie starając. Wydawało się wonczas, że Światłość zaiste nam sprzyja. Jerid urodził się cały i zdrowy, wojna zaś dobiegła końca, wszystko w ciągu paru dni, a kiedyśmy przybyli do domu, do Canluum, lady dała nam te stajnie w zamian za służbę Josefa i... i ... – Przełknęła łyżę, których nie chciała uronić. Colar zaczęła łkać i matka przytuliła ją mocniej, szepcząc słowa otuchy.

Moiraine wstała. Kolejny raz to samo. Nic tu po niej. Jurine też wstała – niewysoka kobieta, a mimo to prawie o dłoń wyższa od niej. Obie dziewczynki mogły jej spojrzeć prosto w oczy. Od wyjazdu z Cairhien zdążyła się do tego przyzwyczaić. Z wysiłkiem się pohamowała, wymamrotała kolejne kondolencje i kiedy dziewczynki poszły po jej podbity futrem płaszcz oraz rękawiczki, spróbowała wcisnąć w dłoń kobiety irchową sakiewkę. Małą sakiewkę. Zdobywanie funduszy wiązało się z wizytami u bankierów i zostawianiem wyraźnych śladów. Co wcale nie znaczyło, by Aielowie zostawili jej majątki w takim stanie, żeby mogły jeszcze przez wiele lat dostarczać jakichś pieniędzy. I żeby ktoś mógł jej szukać. A mimo to byłoby zdecydowanie nieprzyjemnie, gdyby ją jednak zdemaskowano.

Kobieta hardo odmówiła przyjęcia sakiewki. Moiraine zirytowała się. Nie dlatego, że odrzucono jej pomoc. Rozumiała, czym jest duma, poza tym lady Kareil już zadbała o tę kobietę. Powodem irytacji było pragnienie, by nareszcie sobie stąd pójść. Jurine Najima straciła męża i trzech synów podczas jednego ognistego poranka, ale jej Jerid urodził się w niewłaściwym miejscu, o jakieś dwadzieścia mil za daleko. Poszukiwania trwały. Moiraine nie podobało się, że czuje ulgę na wieść o śmierci niemowlęcia. A mimo to ją czuła.

Na zewnątrz, pod szarym niebem, otuliła się szczelnie płaszczem. Ignorowanie zimna było prostą sztuczką, ale każdy, kto by się przeszedł ulicami Canluum w rozpiętym płaszczu, przyciągnąłby spojrzenia. A w każdym razie każdy cudzoziemiec, chyba że była to ewidentnie Aes Sedai. Poza tym niedopuszczanie do siebie zimna bynajmniej nie sprawiało, że człowiek go nie zauważał. Nie pojmowała, jak ci ludzie mogą to nazywać „nową wiosną” bez choćby odrobiny ironii.

Mimo lodowatego wiatru, który wiał ponad dachami, kręte ulice były zatłoczone i musiała się przeciskać przez skłębioną masę ludzi, fur i wozów. Do Canluum z całą pewnością zawitali przybysze z całego świata. Obok niej przepchnął się Tarabonianin z sumiastymi wąsami, mrużąc pospieszne przeprosiny, i oliwkowej karnacji kobieta z Altary, która spojrzała wzgardliwie na Moiraine, potem zaś Illianin z brodą, ale wygolony pod nosem, bardzo urodziwy i bynajmniej nie za wysoki.

Innego dnia, w innym mieście ucieszyłby ją jego widok. Teraz ledwie go

zauważyła. To kobiety obserwowała, zwłaszcza te dobrze odziane, w jedwabiach albo cienkich wełnach. Gdyby jeszcze nie było wśród nich aż tylu w woalach. Dwukrotnie spostrzegła Aes Sedai kroczące przez tłumy, żadnej jednakże nie знаła. Żadna nie spojrzała w jej stronę – spuszczały głowę i trzymały się drugiej strony ulicy. Być może i ona powinna była przywdziać woal. Otarła się o nią jakaś krępa kobieta, koronka skrywała rysy twarzy. W czymś takim nie rozpoznałaby Sierin Vayu z odległości dziesięciu stóp.

Moiraine zadygotała pod wpływem tej myśli, jakby nie była niedorzeczna. Gdyby nowa Amyrlin dowiedziała się, co ona zamierza... Realizowanie jakichś sekretnych planów, z własnej inicjatywy i bez powiadomienia, nie ujdzie bez kary. Nieważne, że Amyrlin, która je ułożyła, umarła we śnie i że teraz inna kobieta zasiada na Tronie Amyrlin. W najlepszym razie mogła się spodziewać zesłania na jakąś samotną farmę, dopóki poszukiwania nie dobiegną końca.

To nie było sprawiedliwe. Ona i jej przyjaciółka Siuan pomogły ułożyć listę nazwisk, pod pozorem udzielenia pomocy każdej kobiecie, która urodziła dziecko podczas tych dni, kiedy Aielowie zagrażali samemu Tar Valon. Z wszystkich kobiet, które należały do tej grupy, tylko dwie znały prawdziwy powód. To one przesiały te nazwiska na użytek Tamry. Tak naprawdę liczyły się tylko dzieci urodzone za murami miasta, ale oczywiście wszystkie znalezione kobiety otrzymały obiecaną pomoc. W istocie jednak chodziło wyłącznie o chłopców urodzonych na zachodnim brzegu rzeki Erinin, chłopców, którzy mogli się urodzić na zboczach Góry Smoka.

Za jej plecami jakaś kobieta krzyknęła piskliwie, gniewnie i Moiraine aż podskoczyła, zanim się zorsientowała, że ta kobieta jest woźnicą i że wymachuje batem nad głową ulicznego sprzedawcy, chcąc, by usunął jej z drogi ręczny wózek pełen parujących placków z mięsem. Światłości! Farma to naprawdę najlepsze, czego może się spodziewać! Kilku mężczyzn obok Moiraine zaśmiało się ochryple, kiedy podskoczyła, a jeden z nich, ciemnolicy Tairenianin w pasiastym kaftanie, zażartował grubiańsko z tego, że zimny wiatr podwiał jej spódnice. Śmiech przybrał na sile.

Moiraine szła sztywno przed siebie, ze spurpurowiałymi policzkami, z całej siły zaciskając dłoń na srebrnej rękojeści noża wetkniętego za pas. Nie myśląc, objęła Prawdziwe Źródło i Jedyną Moc zalała ją radością życia. Wystarczyło jedno spojrzenie rzucone za siebie; dzięki *saidarowi* zapachy stały się ostrzejsze, kolory żywsze. Potrafiłaby policzyć nitki w płaszczu roześmianego Tairenianina. Utknęła pięć splotów z Powietrza i workowate spodnie opadły mu na wysokie buty z wywróconymi cholewami, mimo że wcale ich nie rozsznurował. Mężczyzna, krzycząc, opatulił się płaszczem pośród fal na nowo wybuchłego śmiechu. Niech sam zobaczy, czy mu się podobają chłodne wiatry i chuligańskie żarty!

Satysfakcja trwała tyle, ile trzeba do uwolnienia Źródła. Skłonność do kierowania

się odruchami i porywczy temperament zawsze były jej słabą stroną. Każda kobieta zdolna do przenoszenia zauważyłaby jej sploty, gdyby stała dostatecznie blisko, bez najmniejszego trudu dostrzegłaby otaczającą ją lunę *saidara*. Najślabza siostra w Wieży wyczułaby je z trzydziestu kroków. Doprawdy wspaniały sposób zachowania anonimowości.

Przyśpieszyła kroku, starając jak najszybciej oddalić z tego miejsca. Za wolno i za późno, ale tylko tyle mogła teraz zrobić. Pogładziła niewielką książeczkę schowaną w sakwie przy pasie, starając się skupić na swoim zadaniu. Przytrzymywanie poły płaszcza tylko jedną ręką okazało się niemożliwe. Łopotał na wietrze i po chwili poczuła ziąb tnący niczym nóż. Siostry, które odprawiły pokutę z byle powodu, były głupie, ale pokuta mogła służyć wielu celom i być może ona potrzebowała czegoś, co odświeżałoby jej pamięć. Skoro nie pamiętała o przezorności, równie dobrze mogła już teraz wrócić do Białej Wieży i zapytać, od którego miejsca ma zacząć plewić rzepe.

W myślach zrobiła kreskę przy nazwisku Jurine Najimy. Inne pozycje w książeczce już zostały skreślone atramentem. Matki pięciu chłopców urodzonych w niewłaściwym miejscu. Matki trzech dziewczynek. Pod Lśniącymi Murami zebrało się blisko dwieście tysięcy mężczyzn pragnących się zmierzyć z Aielami. Moiraine wciąż zdumiewało, jak wiele kobiet poszło za nimi, w tym wiele spodziewających się dziecka. Musiała jej to wyjaśnić jakaś starsza siostra. Ta wojna nie trwała krótko i mężczyźni, którzy wiedzieli, że być może polegną następnego dnia, pragnęli zostawić za sobą jakąś swoją część. Kobiety, które wiedziały, że ich mężczyźni być może polegą następnego dnia, pragnęły ową część zatrzymać przy sobie.

Podczas rozstrzygających dziesięciu dni wiele z nich rodziło i w tym zgromadzeniu uciekinierów i żołnierzy z niemalże wszystkich krain zbyt często krążyły tylko plotki na temat tego, gdzie albo kiedy jakieś dziecko zostało urodzone. Albo na temat miejsca, do którego udali się jego rodzice, kiedy wojna się skończyła i armia Koalicji rozproszyła się razem z samą Koalicją. W książeczce Moiraine zbyt wiele było takich pozycji jak ta: „Saera Deosin. Mąż Eadwin. Z Murandy. Syn?” Cały kraj do przeszukania, znane tylko jakieś imiona i żadnej pewności, że ta kobieta urodziła chłopca. Za wiele takich jak: „Kari al’Thor. Z Andoru? Mąż Tamlin, drugi kapitan Illiańskich Towarzyszy, zdymisjonowany na własną prośbę”. Tych dwoje mogło się udać w dowolne miejsce na świecie, nadto istniały uzasadnione wątpliwości, czy ona rzeczywiście urodziła dziecko. Czasami na liście było tylko imię matki, a do tego z sześć albo i osiem odmian nazwy rodzinnej wioski, która mogła leżeć w jednym z kilku krajów. Lista tych łatwych do odszukania kurczyła się w gwałtownym tempie.

Niemniej jednak musiały odnaleźć dziecko. Niemowlę, które dożyje wieku

męskiego i będzie władało skażoną męską poławą Jedynej Mocy. Moiraine mimo woli wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Dlatego właśnie te poszukiwania były tak utajnione, dlatego Moiraine i Suan, zaledwie Przyjęte w czasie, gdy dowiedziały się przypadkiem o narodzinach dziecka, najpierw zostały zwyczajnie zbyte, a potem – do czego Tamra dołożyła wszelkich starań – trzymane w jak najgłębszej niewiedzy. To była sprawa dla doświadczonych siostr. Ale w takim razie komu powierzyła wieść, że narodziny Smoka Odrodzonego zostały Przepowiedziane i, co więcej, że gdzieś już ssię on pierś swej matki? Czy ona też miewała takie same koszmary, jakie budziły Moiraine i Suan przez tyle nocy? A jednak ten chłopczyk miał osiągnąć wiek męski i uratować świat, bo tak głosiły Proroctwa Smoka. O ile nie zostanie znaleziony przez jakąś Czerwoną siostrę: głównym celem Czerwonych Ajah było polowanie na mężczyzn, którzy potrafili przenosić, i Moiraine była pewna, że Tamra nie ufa żadnej z nich, nawet w kwestii dziecka, jeśli jest płci męskiej. Czy można liczyć, że jakaś Czerwona będzie pamiętała, iż ma do czynienia ze zbawcą ludzkości? Dzień przez te wspomnienia nagle zdał się Moiraine chłodniejszy.

Oberża, w której wynajmowała niewielką izbę, „Bramy Niebios”, miała cztery przestronne kondygnacje, pokrywał ją dach z zielonego łupku. Najlepsza i największa w Canluum. Pobliskie sklepy żywiły lordów i lady z górującej za oberżą Stanicy. Nie zatrzymałaby się tam, gdyby w mieście można było znaleźć jakąś inną izbę. Zrobiwszy głęboki wdech, wbiegła pospiesznie do środka. Ani nagle ciepło bijące od ognia na czterech dużych paleniskach, ani smakowite zapachy napływające od strony kuchni nie rozluźniły jej napiętych mięśni ramion.

Główna izba była duża, wszystkie stoły pod jaskrawoczerwoną powałą zajęte, przeważnie przez prosto odzianych kupców i garstkę zamożnych rzemieślników w kolorowych koszulach albo sukniach pokrytych bogatym haftem. Ledwie zwróciła na nich uwagę. W „Bramach Niebios” zatrzymało się aż pięć siostr i gdy weszła do środka, zobaczyła je wszystkie w głównej izbie. Pan Helvin, oberżysta, zawsze robił miejsce dla Aes Sedai, nawet wtedy, gdy trzeba było zmusić innych gości, żeby się ścieśnili przy stołach. Siostry siadywały każda z osobna, ledwie przyznając się do pozostałych, niemniej jednak ludzie, którzy mogli nie rozpoznać Aes Sedai na pierwszy rzut oka, teraz już o nich wiedzieli, wiedzieli dość, by się nie narzucać. Przy każdym innym stole panował ścisk, ale jeśli przy Aes Sedai siedział jakiś mężczyzna, to był to jej Strażnik, wyglądający na niebezpiecznego mężczyznę o twardym spojrzeniu, chociaż niekiedy zupełnie przeciętnej powierzchowności. Siostra siedząca całkiem samotnie należała do Czerwonych; Czerwone nie brały sobie Strażników.

Wetknąwszy rękawiczki za pas i przewiesiwszy płaszcz przez ramię, Moiraine ruszyła w stronę kamiennych schodów na tyłach izby. Szła niezbyt szybko, ale też się nie ociagała. Patrzyła prosto przed siebie. Nie musiała widzieć twarzy, na których

czas nie odcisnął śladu, względnie błysku złotego węża pożerającego własny ogon na palcu, by wiedzieć, że mija jakąś siostrę. Zawsze potrafiła wyczuć w drugiej kobiecie zdolność do przenoszenia, jej siłę. Siłę, której nikt inny tu nie zdołałby sprostać. Ona wyczuwała ich zdolności, a one wyczuwały je w niej. Wzrok, którym ją odprowadzały, muskał ją jak lekkie dotknięcia palców. Tylko musnięcia, nigdy uściski. Żadna się do niej nie odezwała.

A jednak, kiedy dotarła już do schodów, za jej plecami przemówiła jakaś kobieta:
– Proszę, proszę. A to ci niespodzianka.

Moiraine obróciła się szybko. Z wysiłkiem zdołała zachować niewzruszony wyraz twarzy, wykonując prędkie dygnięcie, jakie mogłaby wykonać pośledniejsza szlachcianka przed Aes Sedai. Przed dwoma Aes Sedai. Jej zdaniem nie mogła spotkać gorszych niż te dwie w jedwabiach posępnej barwy.

Siwe pasma w długich włosach Larelle Tarsi podkreślały jej wyważoną elegancję i miedzianą karnację skóry. Moiraine uczęszczała do niej na wykłady z rozmaitych przedmiotów, jako nowicjuszka i jako Przyjęta – tamta miała zwyczaj zadawać najbardziej niewygodne pytania, jakie można sobie wyobrazić. Pulchna i macierzyńska Merean Redhill była jeszcze gorsza. Prawie zupełnie siwe włosy zebrane nad karkiem niemal całkiem odciągały wzrok od nie naznaczonych piętnem czasu rysów twarzy. Była Mistrzynią Nowicjuszek za Tamry i w porównaniu z nią Larelle wydawała się ślepa, kiedy przychodziło do wykrywania tego, co człowiek najbardziej chciał ukryć. Obie nosiły szale haftowane w pędy winorośli, przy czym szal Merean był obrzeżony błękitnymi frędzlami. Moiraine też należała do Błękitnych Ajah. Co mogło się jakoś liczyć. A może wcale nie. Widok ich razem zaskakiwał – nie sądziła, by szczególnie za sobą przepadały.

Obie, niestety, były sprawniejsze od niej we władaniu Mocą, chociaż któregoś dnia miało się to zmienić. Zgodnie z obowiązującym zwyczajem różnica była na tyle tylko istotna, by wymuszać ustępstwo, nie nakazując bezwarunkowego posłuchu. W każdym razie nie miały prawa ingerować w cokolwiek, co robiła. Chyba że brały udział w poszukiwaniach zorganizowanych przez Tamrę i znały jej rolę. Bezpośrednie rozkazy Amyrlin miały większą wagę niż najsilniej ugruntowane z praw zwyczajowych albo przynajmniej zdolne były je w dużej mierze zmieniać. Gdyby jednak któraś z nich powiedziała na głos coś niestosownego, wówczas wszystkie siostry zgromadzone w izbie dowiedziałyby się, że Moiraine Damodred podróżuje w przebraniu, a wkrótce zapewne wieść o tym dotarłaby do niepowołanych uszu. Tak właśnie kręcił się ten świat. Niedługo z pewnością zostałaby wezwana z powrotem do Tar Valon. Otworzyła już usta, by powiedzieć coś, co uprzedzi ewentualny niepomysłny rozwój wypadków, gdy usłyszała słowa:

– Z tą nie ma co próbować – powiedziała samotna siostra siedząca przy pobliskim

stole, okręcając się na ławie. Felaana Bevaine, szczupła i jasnowłosa Brązowa o zrzytliwym głosie, niegdyś pierwsza pokazała Moiraine, gdzie jej miejsce. – Powiada, że nie interesuje jej wyprawa do Wieży. A przy tym uparta jest jak kamień. I skryta.

Wprawdzie należałoby sądzić, że powinniśmy wiedzieć o jakiejś dzikusce, choćby pochodziła z najpośledniejszego cairhieńskiego Domu, ale to dziecko woli wszystko robić na własną rękę.

Larelle i Merean spojrzały na Moiraine, Larelle wyginając w łuk cienką brew, Merean najwyraźniej starając się ukryć uśmiech. Większość siostr nie lubiła dzikusiek, kobiet, które samodzielnie uczyły się przenoszenia i jakoś wychodziły z tego cało, mimo braku szkolenia w Białej Wieży.

– W istocie, Aes Sedai – odparła ostrożnie Moiraine, zadowolona, że ktoś ją wyręczył. – Nie mam ochoty wstępować do nowicjatu i nie uczynię tego.

Felaana zmierzyła ją taksującym spojrzeniem, ale nadal mówiła do innych:

– Twierdzi, że ma dwadzieścia dwa lata, ale to prawo czasem już naginano.

Wystarczy, by kobieta powiedziała, że ma osiemnaście lat, i jako taką wpisuje się ją do rejestrów. Chyba że jest to oczywiste kłamstwo, a ta dziewczyna...

– Nasze prawa nie zostały ustanowione po to, by je łamać – wtrąciła ostro Larelle, a Merean dodała kwaśno:

– Nie wierzę, by ta młoda kobieta chciała kłamać na temat swojego wieku. Ona nie chce być nowicjuską, Felaano. Niech idzie własną drogą.

Moiraine omal nie odetchnęła z ulgą.

Felaana, mimo że była od nich słabsza i powinna się godzić z tym, że jej przerywają, zaczęła się podnosić z miejsca, najwyraźniej zamierzając kontynuować spór. Prawie już stojąc, zerknęła na schody za plecami Moiraine; wytrzeszczyła oczy i nagle opadła z powrotem na ławę, skupiając uwagę na swoim talerzu pełnym czarnego groszku i cebulek, jakby na świecie nie istniało nic innego. Merean i Larelle otuliły się szalami, zafalowały szare i błękitne frędzle. Miały takie miny, jakby bardzo pragnęły się znaleźć daleko stąd. Niemniej nawet nie drgnęły, jakby stopy przybito im gwoździami do posadzki.

– A więc ta dziewczyna nie chce zostać nowicjuską – dobiegł je ze schodów kobiecy głos. Moiraine słyszała go tylko raz, przed dwoma laty, i nie potrafiła zapomnieć. Wiele kobiet było silniejszych od niej, ale tylko ta jedna mogła przewyższać ją aż tak zdecydowanie.

Mimo woli obejrzała się przez ramię.

Oczy, niemal całkiem czarne, przyglądały się jej spod siwego koczka udekorowanego złotymi ozdobami, gwiazdkami i ptakami, półksiężycami i rybami. Cadsuane też nosiła szal, obrzeżony zielonymi frędzlami.

– Moim zdaniem, dziewczyno – powiedziała oschle – przydałoby ci się dziesięć lat w bieli.

Od dawna wszyscy sądzili, że Cadsuane Melaidhrin umarła gdzieś w odosobnieniu, a tymczasem ona nagle pojawiła się jak spod ziemi na początku Wojny z Aielami, niemniej od tego czasu prawdopodobnie wiele siostr życzyło jej, aby rzeczywiście znalazła się w grobie. Cadsuane była legendą, a legenda staje się czymś wielce niewygodnym, jeśli żyje i wpatruje się w ciebie czarnymi oczyma. Połowa opowieści o niej brzmiała zupełnie nieprawdopodobnie, druga połowa sprawiała wrażenie bajek, były jednak wśród nich i takie, które wspierały bezdyskusyjne dowody. W zamierzchłych czasach jeden z królów Tarabonu został porwany ze swego pałacu, kiedy się dowiedziano, że potrafi przenosić, i zawieszony do Tar Valon, gdzie go poskromiono, mimo że cała jego armia, która nie uwierzyła w podaną wersję wydarzeń, próbowała go odbić. Porwano króla Arad Doman i królową Saldaei, porwano potajemnie, jakby za sprawą czarów, a kiedy Cadsuane nareszcie ich uwolniła, wojna, która zdawała się wisieć na włosku, najzwyczajniej rozeszła się po kościach. Mówiono, że Cadsuane Melaidhrin naginała prawo Wieży, kiedy jej to pasowało, że lekceważyła sobie obyczaje, że chadzała własnymi drogami i często wciągała inne siostry w swe knowania.

– Uprzejmie dziękuję Aes Sedai za jej zainteresowanie... – zaczęła Moiraine, po czym urwała porażona spojrzeniem tamtej. Bynajmniej nie było to jakieś szczególnie twarde spojrzenie. Zwyczajnie nieubłagane. Podobno nawet Zasiadające na Tronie Amyrlin przez całe lata postępowały z Cadsuane z wyjątkową ostrożnością. Szeptano, że kiedyś dopuściła się aktu bezpośredniej przemocy wobec którejś Amyrlin. Niemożliwe, ma się rozumieć: zostałyby natychmiast stracona!

Moiraine przełknęła ślinę i spróbowała zacząć od nowa, ale przekonała się, że na nic więcej jej nie stać, jak tylko na powtórne przełknięcie śliny.

Cadsuane zeszła ze stopnia i powiedziała do Merean i Larelle:

– Przyrowadźcie tę dziewczynę. – Nie spojrzawszy po raz drugi, posuwistym krokiem przeszła przez główną izbę. Siedzący przy stołach popatrzyli na nią, jedni zupełnie otwarcie, inni kątem oka, w tym również Strażnicy; wszystkie siostry spuściły głowy.

Twarz Merean stężała, a Larelle westchnęła ostentacyjnie, ale popchnęły Moiraine śladem rozkołysanych złotych ozdób. Nie miała wyboru, musiała pójść. Przynajmniej Cadsuane nie mogła być jedną z tych kobiet, które powołała Tamra; nie wróciła do Tar Valon od czasu tamtej wizyty na początku roku.

Cadsuane poprowadziła je do jednej z odosobnionych bawialni, na palenisku z czarnego kamienia płonął ogień, czerwone płyciny ścian zdobiły srebrne lampy. Blisko ognia, dla zachowania ciepła, stał wysoki dzban, a na lakierowanej tacy na

małym rzeźbionym stoliku – srebrne kielichy. Merean i Larelle wzięły dwa krzesła z kolorowymi poduszkami, ale kiedy Moiraine ułożyła płaszcz na krzesło i chciała usiąść, Cadsuane wskazała miejsce przed pozostałymi siostrami.

– Stań tu sobie, dziecko – powiedziała.

Starając się nie zaciskać dłoni na fałdach sukni, Moiraine stanęła tak, jak jej kazano. Okazywanie posłuszeństwa zawsze przychodziło jej z trudem. Dopóki w wieku szesnastu lat nie udała się do Wieży, niewielu ludzi musiała słuchać. Większość słuchała jej.

Cadsuane powoli okrążyła całą trójkę, raz, drugi. Merean i Larelle wymieniły zdziwione spojrzenia, Larelle otworzyła nawet usta, ale spojrzawszy raz na Cadsuane, na powrót je zamknęła. Na ich twarzach malowało się całkowite opanowanie: postronny obserwator pomyślałby, że dobrze wiedzą, co się dzieje. Cadsuane czasami zerknęła na nie, ale jej uwaga w większej części skupiona była na Moiraine.

– Większość nowych siostr – odezwała się nagle legendarna Zielona – nieledwie nie zdejmuje szali do snu albo kąpieli, ty natomiast jesteś tutaj bez szala czy choćby pierścienia, w jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc na świecie, jeśli nie liczyć Ugoru. Dlaczego?

Moiraine zamrugnęła. Oto szczere pytanie. Ta kobieta naprawdę ignorowała obyczaje, kiedy tak jej pasowało. Postarała się, by jej głos zabrzmiał lekko.

– Cechą niedawno wyniesionych siostr jest to, że szukają sobie Strażników. – Dlaczego tamta traktuje ją w taki sposób? – Ja jeszcze nie związałam żadnego więziami zobowiązań. Powiedziano mi, że mężczyźni z Ziemi Granicznych znakomicie się nadają na Strażników.

Zielona posłała jej ostre spojrzenie, pod wpływem którego pojałowiała niefrasobliwości swych słów.

Cadsuane zatrzymała się za Larelle i położyła rękę na jej ramieniu.

– Co wiesz o tym dziecku?

Każda dziewczyna, która chodziła na lekcje Larelle, uważała ją za doskonałą siostrę i traciła kontenans pod tym chłodnym, taksującym wzrokiem. Wszystkie jej się bały i zarazem pragnęły być takie jak ona.

– Moiraine była pilną i bystrą uczennicą – powiedziała z namysłem. – Ona i Suan Sanche zasłużyły na miano dwóch najbardziej zdolnych, jakie kiedykolwiek zawitały do Wieży. Ale zapewne wiesz o tym. Niech pomyślę... Była raczej nazbyt swobodna ze swymi opiniami i temperamentem, dopóki nie przywołałyśmy jej do porządku.

Na tyle, na ile nam się udało. Ona i ta Sanche wiecznie, z upodobaniem, płatały jakieś figle. Ale inicjację Przyjętych przeszły za pierwszym razem i potem szybko otrzymały szale. Ona oczywiście musi dojrzeć, ale być może coś z niej jeszcze będzie.

Cadsuane stanęła za plecami Merean i zadała jej to samo pytanie, po czym

dodała:

– Upodobanie do płatania figli, powiedziała Larelle. Niesforne dziecko?

Merean z uśmiechem potrząsnęła głową. Żadna z dziewcząt nie chciała być taka jak Merean, ale każda wiedziała, gdzie szukać ramienia, na którym można się wyplakać, albo rady, gdy nie sposób się było podzielić kłopotem z najbliższą przyjaciółką. Więcej dziewcząt odwiedzało ją z własnej woli niż w celu odebrania zasłużonej kary.

– Nie tyle niesforne, ile żywe – odparła. – Figle, które płała Moiraine, nigdy nie były nikczemne, ale za to bardzo liczne. Jako nowicjuszkę i Przyjętą odsyłano ją do mojego gabinetu częściej niż dowolne trzy inne dziewczyny. Nie licząc jej przyjaciółki od poduszki, Suan. Rzecz jasna przyjaciółki od poduszki często wplątują się razem w tarapaty, ale w wypadku tych dwóch jedna nigdy nie trafiała do mnie bez drugiej. Ostatni raz były tej samej nocy, kiedy zostały wyniesione do godności pełnych siostr. – Jej uśmiech zamienił się w taki sam grymas, jaki miała na twarzy owej nocy. Nie wyrażał gniewu, lecz raczej niedowierzanie, że młode kobiety są zdolne do takich postępów. I lekkie rozbawienie z ich powodu. – Zamiast spędzić noc na kontemplacji, próbowały podrzucić myszy do łóżka innej siostry, Elaidy a’Roihan, i zostały przyłapane. Wątpię, czy często się zdarzało, by inne kobiety wynoszone do godności Aes Sedai miały siedzenie wciąż jeszcze obolałe po ostatniej wizycie u Mistrzynie Nowicjusek. Tuż po tym, jak zostały związane Trzema Przysięgami, potrzebowały poduszek przez tydzień.

Moiraine zachowała gładką twarz, nie zacisnęła dłoni, ale nie mogła nic poradzić na pałające policzki. Ta mina Merean, wyrażająca ubolewanie i rozbawienie, jakby ona nadal wciąż jeszcze była Przyjętą. A więc powinna dojrzeć, tak? Cóż, może i tak, trochę, ale w końcu... I rozprowadanie o tych wszystkich intymnych sprawach!

– Myślę, że wiesz o mnie wszystko, co powinnaś wiedzieć – powiedziała sztywno do Cadsuane. Jak bliskie są sobie ona z Suan, to tylko ich sprawa i nikomu nic do tego. I to przypominanie ich kar, szczegółów kar... Elaida była powszechnie znienawidzona, wiecznie wywierała na kogoś presję, żądała doskonałości za każdym razem, gdy zjawiała się w Wieży. – Jeśli jesteś już usatysfakcjonowana, to przepraszam, ale muszę się spakować. Wyjeżdżam do Chachin.

Zduśliła jęk nabrzmiewający jej w gardle. Wciąż nie potrafiła dostatecznie zapanować nad tym, co mówiła, kiedy temperament brał nad nią górę. Jeżeli Merean albo Larelle uczestniczyły w poszukiwaniach, to mają przynajmniej część listy z jej książeczki. Łącznie z Jurine Najimą tutaj, lady Ines Demain w Chachin i Avene Saherą, która mieszkała w „wiosce przy górskiej drodze wiodącej od Chachin do Canluum”. Żeby rozwiać podejrzenia, wystarczy, jeśli teraz powie, że potem zamierza spędzić jakiś czas w Arafel i Shienarze. Cadsuane uśmiechnęła się. Nie był to miły

uśmiech.

– Wyjedziesz, kiedy ci pozwolę, dziecko. Milcz, dopóki nie każą ci mówić.

W tym dzbanie powinno być wino z korzeniami. Nalej nam.

Moiraine zadrżała. Dziecko! Nie była już nowicjuską. Ta kobieta nie miała prawa jej rozkazywać, decydować, dokąd może jeździć. Ani ustalać, co może, a czego nie może powiedzieć. Ale nie zaprotestowała. Podeszła do paleniska – sztywnym krokiem – i podniosła srebrny dzban z długą szyjką.

– Zdajesz się bardzo interesować tą młodą kobietą, Cadsuane – zauważyła Merean, odwracając się nieznacznie, by popatrzeć, jak Moiraine nalewa wino. – Czy jest w niej coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

W uśmiechu Larelle kryło się nieco drwiny. Tylko odrobina, z uwagi na Cadsuane.

– Czyżby któraś Przepowiedziała, że ona któregoś dnia zostanie Amyrlin? Nie mogę tego stwierdzić, ponieważ nie miewam Przepowiedni.

– Mogę przeżyć następne trzydzieści lat – odparła Cadsuane, wyciągając rękę po kielich, który podała jej Moiraine – albo tylko trzy. Któż to wie?

Moiraine wytrzeszczyła oczy i polała sobie nadgarstek gorącym winem. Merean głośno wciągnęła oddech, a Larelle miała taką minę, jakby kamień trafił ją w czoło. Każda Aes Sedai splunęłaby na stół, zanimby coś powiedziała o wieku innej siostry albo własnym. Tyle że Cadsuane nie była pierwszą lepszą Aes Sedai.

– Przy pozostałych kielichach bądź trochę uważniejsza – powiedziała Zielona, nie przejmując się tymi spojrzeniami. – Dziecko? – Moiraine wróciła do paleniska, wciąż wytrzeszczając oczy, a Cadsuane ciągnęła: – Meilyn jest znacznie starsza. Kiedy ona i ja odejdziemy, najsilniejsza będzie Kerene. – Larelle wzdrygnęła się. – Wzbudziłam może wasz niepokój? – Pojednawczy ton Cadsuane nie mógł być bardziej zwodniczy, zresztą wcale nie miała zamiaru czekać na odpowiedź. – Milczenie w kwestii naszego wieku wcale nie sprawia, że ludzie nie wiedzą, iż żyjemy od nich dłużej. Ba! Kerene od następnych pięciu dzieli wielką przepaść. Pięciu, kiedy to dziecko i ta Sanche osiągną szczyt swych możliwości. A jedna z nich jest moją rówieśniczką i na dodatek lada chwila wycofa się ze spraw tego świata.

– Jaki stąd wniosek? – spytała Merean nieco zbolonym głosem.

Larelle, z poszarzałą twarzą, przycisnęła ręce do łona. Ledwie spojrzały na wino, które podała im Moiraine, po czym bezgłośnie odmówiły przyjęcia kielichów. Moiraine trzymała swój kielich w dłoniach, aczkolwiek nie sądziła, by mogła przełknąć bodaj łyk.

Cadsuane nachmurzyła się: perspektywa była dość przerażająca.

– Od tysiąca lat w Wieży nie pojawiła się żadna, która mogłaby mi dorównać. Od prawie sześciuset żadna, która by dorównała Meilyn albo Kerene. Tysiąc lat temu

byłoby pięćdziesiąt sióstr albo więcej, które stałyby wyżej niż to dziecko. Za kolejne sto lat jednakże ona stanie w pierwszym szeregu. Och, w tym czasie może się znaleźć ktoś silniejszy, ale nie minie pięćdziesiąt lat i może nie być żadnej. Jest nas coraz mniej.

– Nie rozumiem – odparła ostro Larelle. Wydawało się, że się pozbierała i że jest zła na swoją poprzednią słabość. – Wszystkie zdajemy sobie sprawę z problemu, ale co ma z tym wspólnego Moiraine? Czy myślisz, że ona może jakoś sprawić, by do Wieży przybywało więcej dziewcząt, dziewcząt o większych możliwościach? – Jej parsknięcie powiedziało, co o tym myśli.

– Byłoby mi żal, gdyby ją zmarnowano, zanim zaczniesz odróżniać górę od dołu. Wieża nie może sobie pozwolić na taką stratę z powodu jej ignorancji. Popatrzcie na nią. Piękna laleczka wyglądająca jak cairhieniańska szlachcianka. – Cadsuane podniosła palcem brodę Moiraine. – Zanim w taki sposób znajdziesz sobie Strażnika, dziecko, jakiś włóczęga, który będzie chciał sprawdzić, co masz w sakiewce, przebij ci serce strzałą. Byle bandyta, który by zemdlał na widok pogrążonej we śnie siostry, rozbije ci głowę i ockniesz się w jakimś zaułku bez złota, a może i czegoś jeszcze. Podejrzewam, że swego pierwszego mężczyznę wolałabyś wybrać z równą starannością jak pierwszego Strażnika.

Moiraine gwałtownie targnęła podbródkiem, cała aż płonąć z oburzenia. Najpierw sprawy jej i Sivan, a teraz to. O pewnych rzeczach można mówić, o innych żadną miarą nie wolno!

Cadsuane zignorowała jej oburzenie. Spokojnie popijając wino, odwróciła się ku pozostałym.

– To dziecko koniecznie trzeba chronić przed jego żywiołową naturą, dopóki nie znajdzie sobie Strażnika, który będzie strzegł mu pleców. Wy dwie zapewne wybieracie się do Chachin. W takim razie ona pojedzie z wami. Spodziewam się, że ani na moment nie spuścicie jej z oka.

Moiraine odnalazła język w gębie, ale jej protesty zdały się na tyleż samo, co wcześniejsze oburzenie. Merean i Larelle również się sprzeciwiły, tak samo energicznie. Aes Sedai nie potrzebują „opieki”, nieważne, jak są młode. Mają własne sprawy, o które winny zadbać. Nie wyraziły się specjalnie jasno, czego owe sprawy dotyczą – niewiele sióstr zwykło to czynić – ale najwyraźniej nie życzyły sobie towarzystwa. Cadsuane nie zwracała uwagi na nic, czego nie chciała słyszeć, zakładała, że zrobią, co ona chce, naciskała bezwzględnie, gdy choć na jotę ustępowały. Niebawem obie zaczęły wiercić się na krzesłach i mówiły już tylko, że spotkały się zaledwie dzień wcześniej i że nie są pewne, czy dalej będą podróżowały razem. W każdym razie zamierzały spędzić jeszcze dwa albo trzy dni w Canluum, podczas gdy Moiraine chciała wyjechać jeszcze tego dnia.

– To dziecko zostanie do waszego wyjazdu – zapewniła je dziarsko Cadsuane. – Dobrze więc, to już mamy załatwione. Jestem pewna, że wy dwie chcecie jak najszybciej dopatrzeć tych spraw, które was sprowadziły do Canluum. Nie będę was zatrzymywała.

Taka nieoczekiwana odprawa sprawiła, że Larelle z irytacją poprawiła szal, po czym wymaszerowała, mrużąc, że Moiraine pożałuje, jeśli będzie jej wchodziła w paradę albo spowoduje jakąkolwiek zwłokę w podróży do Chachin. Merean przyjęła to lepiej, powiedziała nawet, że będzie się opiekowała Moiraine jak córką, aczkolwiek w jej uśmiechu trudno byłoby się doszukać choć śladu zadowolenia.

Gdy wyszły, Moiraine zapatrzyła się z niedowierzaniem w Cadsuane. W życiu nie spotkała kogoś takiego. Przypominała jej zjawisko przyrodnicze, lawinę, którą raz widziała. Nie widziała innego wyjścia z tej sytuacji, jak zachować milczenie, dopóki nie znajdzie okazji do wyjazdu, gdy Cadsuane albo tamte spuszcza ją z oka. Tak będzie znacznie roztropniej.

– Na nic się nie zgodziłam – rzekła chłodno. Bardzo chłodno. – A jeśli w Chachin czekają na mnie sprawy, które nie cierpią zwłoki?

A jeśli nie zechcę czekać tu przez dwa albo trzy dni? – Być może naprawdę powinna poćwiczyć panowanie nad językiem.

Cadsuane, w zamyśleniu wpatrująca się w drzwi, które zamknęły się za Merean i Larelle, teraz skierowała świdrujące spojrzenie na Moiraine.

– Nosisz szal od pięciu miesięcy i już czekają na ciebie sprawy, które nie cierpią zwłoki? Ha! Nie otrzymałaś nawet pierwszej lekcji, wedle której szal oznacza tylko gotowość przystąpienia do prawdziwych nauk. Tematem drugiej lekcji jest rozważa. Wiem bardzo dobrze, jak trudno się jej nauczyć, kiedy jest się młodym i ma się *saidara* w czubkach palców, a u stóp cały świat. Tak, jak ci się wydaje.

Moiraine usiłowała wtrącić słowo, ale równie dobrze mogła stać przed tamtą lawiną.

– Nieraz będziesz podejmowała wielkie ryzyko, o ile pożyjesz dość długo – ciągnęła Cadsuane. – Już ryzykujesz bardziej, niż zdajesz sobie sprawę. Przemyśl dobrze to, co ci mówię. I postępuj, jak ci przykazano. Sprawdzę dziś twoje łóżko i jeśli cię w nim nie będzie, odnajdę cię i sprawię, że będziesz płakała jak wtedy, przez tamte myszy. Potem, jeśli zechcesz, osuszysz sobie łzy tym szalem, który w twoim mniemaniu czyni cię niewidzialną. Co jednak nie jest prawdą.

Zapatrzona w drzwi, które się zamknęły za Cadsuane, Moiraine nagle sobie uświadomiła, że wciąż trzyma w ręku kielich z winem. Opróżniła go do dna. Ta kobieta była... niesamowita. Obyczaj zabraniał używania fizycznej przemocy przeciwko innej siostrze, ale swą pogroźką Cadsuane nie uchybiła mu ani o włos.

Powiedziała to wprost, więc zgodnie z Trzema Przysięgami dokładnie to, co miała właśnie na myśli. Niewiarygodne. Czy wymieniła Meilyn Arganyę i Kerene Nagashi przypadkiem? Te dwie brały udział w poszukiwaniach zarządzonych przez Tamrę. Czy Cadsuane mogła być jeszcze jedną? Tak czy inaczej bardzo sprawnie uniemożliwiła Moiraine poszukiwania, na najbliższy tydzień albo i dłużej. O ile Moiraine w ogóle uda się przyłączyć do Merean i Larelle. Ale dlaczego tylko na tydzień? Jeżeli ta kobieta brała udział w poszukiwaniach... Jeżeli Cadsuane wiedziała o niej i o Suan... Jeżeli... Stanie w miejscu i bawienie się pustym kielichem nie prowadziło donikąd. Pochwyciła płaszcz.

Kiedy weszła do głównej izby, obejrzało się za nią wielu ludzi, niektórzy ze współczuciem w oczach. Bez wątpienia wyobrażali sobie, jak to jest, gdy człowiek ściga na siebie uwagę trzech Aes Sedai, ale nie potrafili doszukać się w tym niczego dobrego. Na twarzach sióstr nie było krzty współczucia. Felaana uśmiechała się z zadowoleniem: prawdopodobnie uważała, że lady Alys została już wpisana do książki nowicjuszek. Nigdzie nie było widać ani Cadsuane, ani pozostałych dwóch.

Moiraine czuła, że cała drży, kiedy tak przeciskała się między stołami. Za wiele pytań, a ona nie potrafiła znaleźć ani jednej właściwej odpowiedzi. Żałowała, że nie ma tu Suan, która świetnie sobie radziła z rozwiązywaniem zagadek i nie byłaby aż tak wstrząśnięta tą sytuacją.

Z ulicy do oberży zajrzała jakaś młoda kobieta, po czym natychmiast zniknęła. Moiraine prawie się potknęła. Jeśli się czegoś pragnie z całej duszy, to czasem się wydaje, że to właśnie widać. Kobieta zajrzała raz jeszcze, kaptur jej płaszcza opadł na tobołek zarzucony na plecy... i to była naprawdę Suan, silna i przystojna, w prostej błękitnej sukni, noszącej ślady uciążliwej podróży. Tym razem spostrzegła Moiraine, ale zamiast do niej podbiec, skinęła głową w stronę ulicy i znowu zniknęła.

Z sercem w gardle Moiraine narzuciła płaszcz na ramiona i wyszła z oberży. W głębi ulicy Suan przemykała się przez tłum, oglądając się co trzeci krok. Moiraine szła za nią szybko, coraz bardziej zdenerwowana.

Suan powinna być sześćset mil stąd, w Tar Valon, i pracować dla Cetalii Delarme, która kierowała siatką agentów Błękitnych Ajah. Przyjaciółka zdradziła jej tę tajemnicę, użalając się nad swoim losem. Przez cały ten czas, kiedy obie były nowicjuskami i Przyjętymi, Suan stale mówiła, że chciałaby pójść w świat, zwiedzać rozmaite kraje, jednak w dniu, w którym otrzymały szale, Cetalia wzięła ją na bok i już tego wieczoru Suan porządkowała raporty od mężczyzn i kobiet rozproszonych wśród różnych narodów. Miała umysł dostrzegający prawidłowości tam, gdzie inni ich nie widzieli. Cetalia dorównywała Merean w Mocy i upłynęła pewnie jeszcze trzy albo cztery lata, zanim Suan zbierze dość siły, by jej powiedzieć, że rezygnuje z zajęcia. Prędzej w Niedzielę spadnie śnieg, niż Cetalia pozwoli jej

skrócić ten okres. A jedyne wytłumaczenie dla jej obecności w Canluum, jakie pozostawało... Moiraine jęknęła z zaskoczenia. Jakiś wielkouchy mężczyzna sprzedający szpilki z tacy posłał jej zatroskane spojrzenie, lecz tak go spiorunowała wzrokiem, że aż się cofnął.

Zapewne Sierin przysłała Siuan, by sprowadziła ją z powrotem, więc podczas długiej jazdy będą się mogły poużalać przed sobą. Sierin była twardą kobietą, niezdolną do okazania bodaj odrobiny litości.

Od Amyrlin oczekiwano, że udzieli amnestii i złagodzi kary w dniu, w którym zostanie wyniesiona na tron; Sierin kazała wychłostać dwie siostry, a trzy ukarała wygnaniem z Wieży na rok. Niewykluczone, że powiedziała Siuan, jaką karę zamierza wyznaczyć Moiraine. Zadrzała. Najprawdopodobniej Sierin uda się jakoś połączyć w jedno Ciężką Pracę, Utratę Praw, Umartwienie Ciała i Umartwienie Ducha.

Sto kroków za oberżą Siuan obejrzała się raz jeszcze, przystanęła, by się upewnić, że Moiraine ją widzi, po czym wbiegła w jakąś boczną uliczkę. Moiraine przyspieszyła kroku i poszła za nią.

Jej przyjaciółka szła pod jeszcze nie zapalonymi oliwnymi lampami, które wisiały rzędem nawet w tym wąskim, brudnym zaułku. Siuan Sanche, córka rybaka z najniebezpieczniejszej dzielnicy Łzy, nie bała się niczego, ale teraz w jej zdecydowanych niebieskich oczach lśnił strach. Moiraine otworzyła usta, żeby podzielić się z nią swymi obawami co do decyzji Sierin, ale wyższa kobieta odezwała się pierwsza:

– Powiedz mi, że go znalazłaś, Moiraine! Powiedz mi, że jest nim chłopiec Najimy, że możemy go oddać Wieży na oczach stu sióstr, i będzie po sprawie. Sto sióstr?

– Nie, Siuan. – Tu chyba nie szło o Sierin. – Co się stało?

Siuan zaczęła płakać. Siuan, która miała lwie serce i nigdy nie uroniła nawet jednej łzy, dopóki nie opuściły gabinetu Merean, zarzuciła ramiona na szyję Moiraine i objęła ją z całej siły. Trzęsła się.

– One wszystkie nie żyją – wymamrotała – Aisha i Kerene, Valera, Ludice i Meilyn. Podobno Aishę i jej Strażnika zabili bandyci w Murandy. Kerene rzekomo podczas burzy spadła z pokładu statku i utonęła w falach Alguenyi. A Meilyn... Meilyn...

Moiraine tuliła ją i uspokajała. Skonsternowana patrzyła ponad ramieniem Siuan. Poznały imiona pięciu kobiet wybranych przez Tamrę i one wszystkie teraz nie żyły.

– Meilyn raczej... nie była młoda – powiedziała powoli. Wahala się, czy w ogóle o tym napomknąć, skoro jednak Cadsuane mówiła o tym tak otwarcie... Zdumiona Siuan szarpnęła się w jej objęciach, Moiraine jednak z wyraźnym wysiłkiem ciągnęła:

– Podobnie zresztą jak pozostałe, nawet Kerene. – Blisko dwieście lat to niemało nawet dla Aes Sedai. – I wypadki naprawdę się zdarzają. Bandyci. Burze. – Samej trudno jej było w to uwierzyć. Wszystkie naraz?

Siuan odepchnęła się.

– Nie rozumiesz. Meilyn! – Krzywiąc się, potarła oczy. – Rybie bebechy! Mętnie to tłumaczę. Weź się w garść, ty przekłeta idiotko! – To ostatnie warknęła do siebie. Merean i inne zadały sobie sporo trudu, żeby oczyścić jej język z wulgaryzmów, ale Siuan zbuntowała się, gdy już miała szal na ramionach. Poprowadziła Moiraine do beczki bez szpuntu i usadziła na niej. – Nie będziesz mogła ustać, kiedy usłyszysz to, co mam do powiedzenia. A skoro już o tym mowa, to ja też cholernie chętnie bym usiadła.

Z głębi uliczki przywlokła skrzynkę z powyłamywanymi listewkami i usiadła na niej. Miętosila fałdy spódnic, zerkąła w stronę ulicy i gderała na ludzi, którzy im się przyglądali. Im dłużej się tak ociągała, tym bardziej Moiraine ścisnęło w żołądku. Na stan żołądka Siuan też najwyraźniej nie wpływało to najlepiej. Kiedy znowu zaczęła mówić, stale przerywała, by przełknąć ślinę, jak ktoś, komu zbiera się na wymioty.

– Meilyn wróciła do Wieży prawie miesiąc temu. Nie wiem po co.

Nie powiedziała, gdzie była ani dokąd się wybiera, zamierzała zostać tylko przez kilka nocy. Ja... usłyszałam o Kerene tego ranka, gdy przybyła Meilyn, o innych wiedziałam wcześniej. Postanowiłam więc, że z nią porozmawiam. Nie patrz tak na mnie! Potrafię być ostrożna! – „Ostrożna” było słowem, którym Moiraine nigdy by nie określiła Siuan. – W każdym razie zakradłam się do jej pokoi i ukryłam pod łóżkiem. Dlatego słudzy mnie nie widzieli, kiedy szykowali jej posłanie. – Siuan burknęła kwaśno. – Zasnęłam tam. Obudził mnie wschód słońca, ale jej łóżko było puste, nie spała w nim. Wymknęłam się więc i poszłam na śniadanie. I kiedy nakładałam sobie owsiankę, weszła Chesmal Emry... Ona... ogłosiła, że Meilyn znaleziono w jej łóżku, że umarła w nocy. – Urwała raptownie, wpatrując się w Moiraine.

Moiraine była bardzo zadowolona, że siedzi. Jej kolana nie utrzymałyby nawet piórka. Wychowała się wśród *Daes Dae'mar*, wśród knoń i spisków, które zdominowały życie w Cairhien, najsubtelniejszych odcieni znaczeniowych, jakie można nadać każdemu słowu, każdemu działaniu. Tutaj było tego zbyt wiele, szło o zwykłe subtelności. Popełniono morderstwo.

– Czerwone Ajah? – zasugerowała w końcu. Czerwona byłaby zdolna zabić siostrę, która jej zdaniem zamierzała chronić mężczyznę potrafiącego przenosić.

Siuan parsknęła.

– Meilyn nie miała na ciele ani śladu, a Chesmal wykryłaby truciznę, ewentualnie zaccadzenie czy... To oznacza Moc, Moiraine. Czy Czerwoną byłoby na coś takiego

stać? – Mówiła zapalczywym tonem, ale ściągnęła tobolek z pleców i przycisnęła go do łona. Wyglądała, jakby szukała za nim osłony. Niemniej na jej twarzy mniej teraz widać było strachu. – Zastanów się, Moiraine. Tamra też rzekomo umarła we śnie. Tylko my wiemy, że z Meilyn tak nie było, nieważne, gdzie ją znaleziono. Najpierw Tamra, potem zaczęły umierać inne.

Jedyne, co ma sens, to że ktoś zauważył, jak wzywała siostry, i tak bardzo chciał wiedzieć po co, że poważył się przesłuchać samą Amyrlin. Musiały mieć coś do ukrycia, skoro to zrobiły, coś, dla ukrycia czego gotowe były na każde ryzyko. Zabiły ją, żeby to ukryć, a potem zabrały się do zabijania pozostałych. Co oznacza, że nie chcą, by chłopiec został odnaleziony, a przynajmniej odnaleziony żywy. Nie chcą dopuścić, by Smok Odrodzony walczył w Ostatniej Bitwie.

Moiraine nieświadomie zerknęła w stronę wyjścia z uliczki. Nieliczni przechodnie zerkali w ich stronę, żaden więcej niż raz. Nikt się nie zatrzymał na widok dwóch siedzących tam kobiet. O niektórych sprawach lepiej było mówić, rezygnując z dosłowności. „Amyrlin” została poddana przesłuchaniu; została zabita. Nie Tamra, nie to imię, które kojarzyło się ze znajomą, pełną determinacji twarzą. „Ktoś” ją zamordował. „One” nie chciały, by znaleziono Smoka Odrodzonego. Morderstwo z użyciem Mocy z pewnością naruszało Trzy Przysięgi, nawet jeśli tu szło... podobnie jak Siuan Moiraine nie chciała nazywać pewnych spraw po imieniu.

Z trudem wygładziła rysy, przymusiła głos do spokoju i wydusiła z siebie:

– Czarne Ajah.

Siuan drgnęła. Z chmurną miną skinęła głową.

Każdą siostrę można było rozjuszyć najłżejszą sugestią, że wśród Aes Sedai kryją się nie rozpoznane Ajah oddane Czarnemu. Większość siostr nie chciała nawet o czymś takim słyszeć. Biała Wieża oddana była Światłości już od trzech tysięcy lat. Ale niektóre siostry nie zaprzeczały tak od razu istnieniu Czarnych. Niektóre w nie wierzyły. Jednak bardzo niewiele przyznałoby się to tego w obecności innej siostry. Moiraine nie chciała tego przyznać nawet przed sobą.

Siuan szarpnęła za tasiemki przy toboleku, ale powiedziała energicznie:

– Nie sądzę, by znały nasze imiona: Tamra tak naprawdę nigdy nie przyjęła do wiadomości, że też bierzemy we wszystkim udział. W przeciwnym razie nam też przytrafiłby się jakiś „wypadek”. Tuż przed wyjazdem wsunęłam pod drzwi Sierin list, w którym opisałam swe podejrzenia. Nie wiem tylko, do jakiego stopnia można jej ufać. Zasiadającej na Tronie Amyrlin! Pisałam lewą ręką, ale trzęsłam się tak mocno, że i tak nikt nie rozpoznałby mojego charakteru pisma, nawet gdybym pisała prawą. Ażeby mi wątroba szczyła! Nawet gdybyśmy wiedziały, komu ufać, i tak mamy kozie bobki zamiast dowodów.

– Dla mnie dowodów jest dosyć. Jeżeli one wiedzą wszystko, jeśli znają imię

każdej z kobiet wybranych przez Tamrę, to być może nie została już ani jedna oprócz nas. Będziemy musiały działać szybko, jeśli chcemy pierwsze odnaleźć chłopca. – Moiraine też starała się mówić energicznym tonem i poczuła wdzięczność, gdy zobaczyła, że Suan spokojnie kiwa głową. Suan się nie podda mimo tych opowieści o tym, jak się to się trzęsła; na pewno w ogóle jej nie przyszło do głowy, że Moiraine mogłaby zrezygnować. Bardzo dobrze. – Może o nas wiedzą, a może nie. Może uważają, że dwie siostry mogą zostawić w spokoju. W każdym razie nie możemy ufać nikomu oprócz siebie. – Krew odpłynęła jej z twarzy. – Och, Światłości! Dopiero co miałam okropne przejścia w oberży, Suan.

Próbowała przywołać każde słowo, każdy niuans wypowiedzi, od chwili gdy Merean odezwała się pierwsza. Suan słuchała z nieobecnym spojrzeniem, sumując i sortując wszystko, co usłyszała.

– Cadsuane może być jedną z wybranych przez Tamrę – zgodziła się, kiedy Moiraine skończyła. – Ale może też być Czarną Ajah. – Tylko trochę się zawahała przy tych słowach. – Może stara się tylko usunąć cię z drogi, dopóki nie będzie mogła się ciebie pozbyć tak, by nie wzbudzać podejrzeń. Problem polega na tym, że w ogóle każda może należeć do jednej albo drugiej kategorii. – Wsparłszy się na swoim tobołku, dotknęła kolana Moiraine. – Możesz wyprowadzić konia ze stajni tak, żeby cię nie widziano? Mam dobrego wierzchowca, ale nie wiem, czy udźwignie nas obie. Będziemy już wiele godzin stąd, zanim się zorientują, że zniknęliśmy.

Mimo woli Moiraine uśmiechnęła się. Bardzo wątpiła w tego dobrego wierzchowca. Jeśli chodzi o znajomość koni, jej przyjaciółka nie miała większej wiedzy i umiejętności, niż okazywała w praktyce – czasem udawało jej się niemal spaść z siodła, zanim koń w ogóle się ruszył. Jazda na północ musiała być dla niej istną katorgą. I pewnie cały czas bardzo się bała.

– Nikt nie wie, że tu jesteś, Suan – powiedziała. – Najlepiej będzie, jeśli tak zostanie. Masz swoją książeczkę? Znakomicie. Jeżeli zostaną do rana, będę miała nad nimi przewagę całego dnia, zamiast kilku godzin. Ty teraz jedź do Chachin. Weź trochę moich pieniędzy. – Sądząc po stanie jej sukni, Suan podczas ostatniego etapu podróży musiała sypiać pod krzakami. Córka rybaka nie miała majątków, które dostarczałyby złota. – Zaczynaj szukać lady Ines, znajdę cię na miejscu.

Oczywiście nie poszło gładko. Suan była uparta jak muł. A poza tym, kiedy jeszcze były nowicj uszkami, a potem Przyjętymi, to córka rybaka, a nie siostrzenica króla wodziła prym, co z początku zaskoczyło Moiraine, kiedy sobie to uświadomiła, dopóki nie zrozumiała, że z jakiegoś powodu wydaje się to jak najbardziej naturalne. Suan urodziła się, żeby władać.

– Tego, co mam, wystarczy na moje potrzeby – burknęła, ale Moiraine uparła się, by dać jej połowę monet ze swojej sakiewki, i dopiero kiedy przypomniała jej

o przysiędze, którą sobie złożyły podczas pierwszych miesięcy spędzonych w Wieży, tamta mruknęła: – Przysięgłyśmy, że znajdziemy pięknych młodych królewiczów, których zwiążemy ze sobą, a potem poślubimy. Dziewczęta mówią najrozmaitsze głupstwa. Odtąd się pilnuj. Jak mnie zostawisz samą, skręcę ci kark.

Kiedy się obejmowały na pożegnanie, Moiraine stwierdziła, że trudno jej rozstać się z Siuan. Godzinę temu martwiła się, czy przypadkiem nie utknie na jakiejś farmie albo czy nie zostanie wychłostana. A teraz... Czarne Ajah. W żołądku ścisnęło ją tak, że miała ochotę wymiotować. Gdybyż tylko miała odwagę Siuan. Patrząc, jak przyjaciółka wymyka się z zaułka z tobołkiem na plecach, Moiraine żałowała, że nie jest Zieloną. Tylko Zielone wiązały więcej niż jednego Strażnika, a ona teraz bardzo chciała mieć przy sobie co najmniej trzech albo czterech wojowników, którzy by jej strzegli.

Kiedy wyszła na ulicę, nie potrafiła się powstrzymać przed przyglądaniem się podejrzliwie każdej mijanej osobie, czy to był mężczyzna, czy kobieta. Jeżeli w całej sprawie uczestniczyły Czarne Ajah kłębilo jej się w żołądku za każdym razem, gdy o nich pomyślała - z pewnością maczali w niej również palce zwykli Sprzymierzeńcy Ciemności. Nikt nie zaprzeczał istnieniu wykołajców wierzących, że Czarny ofiaruje im nieśmiertelność, ludzi, którzy zabijali i czynili wszelkiego rodzaju zło, żeby tylko otrzymać spodziewaną nagrodę. I jeśli każda siostra mogła być Czarną Ajah, to w takim razie każdy, kogo napotka na ulicy, może się okazać Sprzymierzeńcem Ciemności. Miała nadzieję, że Siuan o tym pamięta.

Kiedy już się zbliżała do „Bram Niebios”, zauważyła na progu jakąś siostrę. Czy raczej przelotne mgnienie sylwetki siostry: Moiraine spostrzegła tylko ramię w szalu z frędzlami. Jakiś wysoki mężczyzna, który właśnie stamtąd wyszedł, z włosami zaplecionymi w dwa warkocze ozdobione dzwoneczkami, odwrócił się i rozmawiał z nią przez chwilę, ale ramię w szalu wykonało rozkazujący gest i człowiek ów przeszedł obok Moiraine z chmurną miną. Nie pomyślałaby o tym dwa razy, gdyby nie te rozważania o Czarnych Ajah i Sprzymierzeńcach Ciemności. Światłość wiedziała, że Aes Sedai rozmawiały z mężczyznami, a niektóre nie tylko rozmawiały. Ale rozmyślała przedtem o Sprzymierzeńcach Ciemności. I o Czarnych siostrach. Gdyby tylko udało jej się określić kolor frędzli. Ostatnie trzydzieści kroków przebiegła ze zmarszczonym czołem.

Merean i Larelle siedziały razem obok drzwi, obie wciąż miały na sobie szale. Niewiele sióstr je nosiło, chyba że podczas ceremonii albo w milczącej demonstracji. Przypatrywały się Cadsuane, która właśnie wchodziła do wynajętej bawialni, wiodąc dwóch mężczyzn, siwowłosych, ale przywodzących na myśl dęby. Ona też nosiła szal, z białym Płomieniem Tar Valon odznaczającym się jaskrawo na plecach. To mogła być każda z nich. A Cadsuane być może szukała nowego Strażnika: Zielone zawsze

zachowywały się tak, jakby szukały kolejnego mężczyzny. Moiraine nie wiedziała, czy Merean i Larelle mają Strażników. Niewykluczone, że ten mężczyzna tak się krzywił, bo usłyszał odmowę. Wyjaśniać tę sytuację można było na sto sposobów, toteż przegnała tamtego mężczyznę ze swych myśli. Niebezpieczeństw było dosyć, żeby jeszcze wymyślać kolejne.

Nie zdążyła jeszcze wejść na trzy kroki do wspólnej sali, gdy wtargnął tam pan Helvin w fartuchu w zielone paski, łysy mężczyzna, niemal równie szeroki w barkach jak wysoki, dając jej nowy powód do irytacji. Do jego oberży przybyły trzy nowe Aes Sedai, więc będzie musiał „przesuwać łóżka”, jak to ujął. Lady Alys nie przeszkodzi chyba, że w takich okolicznościach będzie z kimś dzieliła swoje postanie. Pani Palan to doprawdy przemiła osoba.

Haesel Palan okazała się kupcem z Murandy, handlującym dywanami, w jej głosie słyszało się śpiewny akcent z Lugardu. Moiraine od chwili, gdy weszła do małej izdebki, która przedtem należała wyłącznie do niej, słyszała go częściej, niżby chciała. Jej ubrania zostały przeniesione z szafy na kołki w ścianie, grzebień i szczotka zdjęte z umywalki, by zrobić miejsce kosmetykom pani Palan. Pulchna kobieta byłaby zapewne nieśmiała wobec „lady Alys”, ale nie wobec dzikuski, o której wszyscy mówili, że wyjeżdża rano do Białej Wieży, gdzie zostanie nowicjuską. Wygłosiła na użytek Moiraine wykład na temat obowiązków nowicjuszki, w którym zresztą wszystko pokręciła. Potem zeszła za nią do jadalni, gdzie zgromadziła przy swoim stole wszystkich znajomych kupców, a każda kobieta w tej gromadzie miała chęć podzielić się tym, co wie o Białej Wieży. Czyli w istocie kompletnie niczym. A jednak nie oszczędziły jej najdrobniejszego szczegółu. Postanowiła, że ucieknie natychmiast, ale pani Palan zjawiała się, ledwie Moiraine zdjęła suknię, a potem gadała, póki nie zasnęła.

Noc nie należała do przyjemnych. Łóżko było wąskie, a kobieta miała kanciaste łokcie i lodowate stopy, mimo grubych koców, które zatrzymywały ciepło bijące od małego piecyka umieszczonego pod łóżkiem. Rozpętała się wreszcie burza, na którą zanosilo się przez cały dzień, wiatr i pioruny przez wiele godzin wstrząsały okiennicami. Moiraine wątpiła, czy w ogóle zaśnie. W głowie tańczyli jej Sprzymierzeńcy Ciemności i Czarne Ajah. Widziała Tamrę wywlekaną z łóżka, ciągniętą do jakiegoś ukrytego miejsca i torturowaną przez kobiety władające Mocą. Czasami te kobiety miały twarz Merean, Larelle, Cadsuane i w ogóle każdej siostry, jaką poznała w życiu. A czasami twarz Tamry stawała się jej własną twarzą.

Kiedy o szarych godzinach przedświturozległo się skrzypienie powoli otwieranych drzwi, Moiraine w mgnieniu oka objęła Źródło. *Saidar* wypełniał ją do momentu, w którym słodycz i radość stały się bliskie bólu. Jeszcze nie taka ilość

Mocy, jaką byłaby w stanie zaczerpnąć w następnym roku, o wiele mniej niż za pięć lat, a jednak o włos więcej wypaliłoby w niej zdolność albo zabiłoby ją na miejscu. Jedno byłoby równie złe jak drugie, a mimo to pragnęła zaczerpnąć więcej, i to nie tylko dlatego, że Moc zawsze sprawiała, iż pragnęło się mieć jej w sobie więcej.

W uchylonych drzwiach zobaczyła głowę Cadsuane. Moiraine zapomniała o jej obietnicy, o pogroźce. Cadsuane oczywiście widziała łunę, czuła, ile ona obejmuje.

– Głupia dziewczyna – tyle tylko powiedziała i wyszła.

Moiraine powoli policzyła do stu, po czym wysunęła nogi spod kołdry. Moment był równie dobry jak każdy inny. Pani Palan obróciła się na bok i zaczęła chrapać. Moiraine przeniosła Ogień, zapaliła jedną z lamp i ubrała się pośpiesznie. Tym razem w suknię do konnej jazdy. Niechętnie zdecydowała się zostawić sakwy podróżne razem z wszystkim, co musiała porzucić. Ktoś, kto ją zauważy, raczej nie pomyśli sobie za wiele mimo tak wczesnej pory, ale nie wtedy, gdy będzie miała sakwy przerzucone przez ramię. Wzięła tylko to, co się zmieściło do kieszeni wszytych w podszewkę płaszcza, czyli niewiele więcej oprócz kilku zapasowych pończoch i czystej bielizny. Kiedy Moiraine zamykała za sobą drzwi, pani Palan wciąż chrapała.

Chuderlawy stajenny z nocnej zmiany zdziwił się, że widzi ją w porze, gdy niebo dopiero zaczyna szarzeć, ale na widok srebrnej monety potarł kłykcami czoło i osiodłał jej gniadą klacz. Żałowała, że zostawia jucznego konia, ale nawet głupia szlachcianka – usłyszała, jak mężczyzna mruczy te właśnie słowa za jej plecami – nie brałaby jucznego konia na poranną przejażdżkę. Wspiąwszy się na siodło Strzały, obdarzyła stajennego chłodnym uśmiechem zamiast drugiej monety, którą dostałby bez tamtego komentarza, i wyjechała powoli na wilgotne, puste ulice. Tylko na przejażdżkę, nieważne, że tak wcześniej. Zapowiadał się ładny dzień. Niebo wypogodziło się wreszcie i prawie nie było wiatru.

Na ulicach i w zaułkach ciągle jeszcze paliły się lampy, które nigdzie nie zostawiały nic oprócz bladych cieni, a mimo to nie było widać żadnych ludzi oprócz patroli Straży Nocnej i Latarników, którzy uzbrojeni po zęby obchodzili miasto, by sprawdzić, czy któraś lampa nie zgasła. Cud, że ci ludzie potrafili żyć tak blisko Ugoru, gdzie z każdego cienia potrafił wyłonić się Myrddaal. Nikt tu nie wychodził na ulice po nocy. Nie na Ziemiach Granicznych.

Dlatego właśnie zdziwiło ją, gdy stwierdziła, że nie jest bynajmniej pierwszą osobą u zachodnich bram. Ściągnęła wodze Strzały, zatrzymała się w sporej odległości od trzech nadzwyczaj rosnących mężczyzn czekających z wierzchowcami i jucznym koniem. Cała ich uwaga była skupiona na okratowanych bramach, co jakiś czas zamieniali słowo ze strzegącymi ich strażnikami. Na nią ledwie zerknęli. Dzięki ulicznym lampom widziała wyraźnie ich twarze. Szpakowaty starszy mężczyzna i młodzieniec o twardej twarzy, obaj w przepaskach ze splecionego rzemienia na

czołach. Malkieri? Jej zdaniem te przepaski to właśnie oznaczały. Ten trzeci, sądząc po warkoczach ozdobionych dzwoneczkami, był Arafelianinem. Ten sam mężczyzna, który wychodził z „Bram Niebios”.

Zanim jaskrawe pasmo jutrzeńki nad horyzontem dało znak, że czas otworzyć bramy, ustawiło się pod nimi kilka karawan kupieckich. Trzej postawni mężczyźni przejechali pierwsi. Moiraine przepuściła kilkanaście ośmiokonných zaprzęgów, zanim wjechała na most i na drogę biegnącą między wzgórzami. Nie spuszczała jednak tych trzech z oka. Na razie jechali w tym samym kierunku.

Przemieszczali się szybko, wytrawni jeźdźcy, którzy rzadko zmieniali uchwyt wodzy w dłoniach, ale tempo jej odpowiadało. Im większy dystans między nią a Cadsuane, tym lepiej. Wozy kupców zostały z tyłu o wiele wcześniej, zanim około południa dotarli do pierwszej wioski, niewielkiego zbiorowiska kamiennych domostw z łupkowymi dachami, pobudowanych wokół maleńkiej oberży na zalesionym zboczu. Moiraine zatrzymała się tylko na tak długo, by zapytać, czy ktoś tam zna kobietę zwaną Avene Sahera. Odpowiedź brzmiała „nie”, więc pogalopowała dalej, nie zwalniając, dopóki przed nią, na ubitym trakcie, nie pojawili się znowu trzej mężczyźni na koniach, które nadal stałym rytmem pokonywały drogę. Może nie znali nic oprócz imienia siostry, z którą rozmawiał Arafelianin, ale jej mogło przydać się wszystko, czego się dowie na temat Cadsuane albo pozostałych dwóch.

Opracowała kilka planów zbliżenia się do nich i każdy odrzuciła. Trzej mężczyźni na pustej leśnej drodze mogli równie dobrze stwierdzić, że samotna młoda kobieta to dla nich gratka, zwłaszcza jeśli zaliczali się do takich, których należy się obawiać. W razie czego bez problemu dałaby im radę, ale wolała uniknąć rozprawy. Lasy ustąpiły miejsca rozproszonym farmom, potem te stawały się coraz mniej liczne, aż znowu po obu stronach drogi niepodzielnie zapanowały bory. Orzeł z czerwonym czubem, który krążył nad nimi, stał się ciemną plamką na tle zachodzącego słońca.

Kiedy towarzyszący jej cień znacznie się wydłużył, postanowiła zapomnieć o mężczyznach i znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Jeśli szczęście dopisze, niebawem zobaczy kolejne farmy i jeśli za odrobinę srebra nie dostanie łóżka, będzie jej musiał wystarczyć stryzek z sianem.

Wyprzedzający ją trzej mężczyźni zatrzymali się i chwilę naradzali. Jeden zabrał konia jucznego i zбочzył do lasu. Pozostali wbili pięty w boki zwierząt i pogalopowali przed siebie.

Moiraine odprowadziła ich wzrokiem. Arafelianin był jednym z tych dwóch, którzy pognali drogą, ale skoro podróżowali razem, to być może napomknął swemu towarzyszowi o spotkaniu z Aes Sedai. I jeden mężczyzna z pewnością sprawi mniej kłopotów niż trzech, jeżeli będzie ostrożna. Dojechała do miejsca, gdzie zniknął jeździec z jucznym koniem, i zsiadła ze swojej klaczy.

Tropienie stanowiło zajęcie, które większość dam pozostawiała swoim łowczym, ale ona interesowała się nim w tym wieku, kiedy to wspinaczka po drzewach i brudzenie się są jednakowo zabawne. Śladem połamanych gałązek i rozkopanych liści mogłoby pójść dziecko. Po jakichś stu krokach w głąb lasu wypatrzyła między drzewami staw w niewielkiej kotlinie. Mężczyzna już rozsiodłał i spętał swojego gniadosza – zwierzę wyjątkowej urody – i właśnie układał siodło na ziemi. To był ten młodszy z Malkieri, z bliska wyglądał na jeszcze roślejszego. Rozpiął pas miecza i usiadł twarzą do stawu, pas i miecz ułożył obok, ręce na kolanach. Zdawał się patrzeć na skroś wody, nadal połyskującej w cieniach późnego popołudnia.

Moiraine zastanowiła się. Najwyraźniej miał tu rozbić obóz. Tamci dwaj wrócą. Kilka pytań nie zabierze dużo czasu. A jeśli będzie nieco zdenerwowany – choćby widokiem kobiety nagle stojącej tuż za nim – to może, odpowiadając bez namysłu, zdradzi jej prawdę. Uwiązawszy wodze Strzały do niskiego konaru, podkasała płaszcz i spódnice, po czym ruszyła przed siebie tak cicho, jak to było możliwe. Weszła na niewielki pagórek, który stał tuż za nim. Nie zawadzi, jeśli wyda się wyższa. Był wyjątkowo roslym mężczyzną. I na pewno nie zawadzi, jeśli będzie trzymała nóż w jednym ręku, a jego miecz w drugim. Przeniosła Moc, dzięki czemu mogła wysunąć ostrze z pochwy leżącej u jego boku. Wszystko po to, by wywołać odpowiednio wstrząsające...

Poruszał się szybciej niż myśl. Zacisnęła dłoń na pochwie miecza, a on rozprostował się, wykonując obrót, jedną ręką chwycił trzymaną przez nią pochwę, drugą złapał za przód jej sukni. Nim przyszło jej do głowy, żeby przenieść, frunęła przez powietrze. Zdażyła tylko zobaczyć zbliżającą się powierzchnię stawu, krzyknąć – i już całym ciałem uderzyła w wodę, tracąc oddech, i z donośnym pluskiem poszła na dno. Woda okazała się zimna jak lód! Pod wpływem wstrząsu utraciła kontakt z *saidarem*.

Niezdarnie przebierała nogami, aż stanęła po pas zanurzona w lodowatej wodzie, kaszląc, z mokrymi włosami oblepiającymi twarz, w przemokniętym płaszczu ciężącym na ramionach. Rozwścieczona zwróciła się ku swemu napastnikowi, raz jeszcze objęła Źródło. Sprawdzian umiejętności wymaganych do przywdziania szala obejmował przenoszenie z absolutnym spokojem w stanie wielkiego napięcia – robiono jej znacznie gorsze rzeczy. Odwróciła się, gotowa powalić go na ziemię i tłuc tak długo, aż zacznie pisać!

On tymczasem stał, kręcąc głową, i skrzywiony wpatrywał się w miejsce, gdzie przedtem stała, oddalone o cały długi krok od miejsca, gdzie wcześniej siedział. Potem nareszcie raczył zwrócić na nią uwagę, podszedł do brzegu stawu i pochylił się, by podać jej rękę.

– Próba rozdzielenia mężczyzny i jego miecza to nierozważny czyn – powiedział

i zerknąwszy na kolorowe rozcięcia w jej sukni, dodał: – Moja pani. – Raczej nie były to przeprosiny. Jego zdumiewająco niebieskie oczy unikały jej wzroku. Jeżeli ukrywał rozbawienie...!

Mrucząc coś pod nosem, niezdarnie dobrnęła do miejsca, gdzie mogła ująć jego wyciągniętą rękę... i podźwignęła się całym ciężarem. Niełatwo zignorować lodowatą wodę ściekającą ci po żebrach, a poza tym, jeśli ona była mokra, to niech i on będzie, na dodatek bez potrzeby korzystania....

Wprostował się, podniósł ramię i Moiraine wynurzyła się z wody, zawisnąwszy na jego ręce. Wpatrywała się w niego z konsternacją, dopóki jej stopy nie dotknęły ziemi. Cofnął się wtedy.

– Rozpalę ognisko i rozwieszę koce, żebyś mogła się osuszyć – mruknął, wciąż nie patrząc jej w oczy.

Okazał się słowny i zanim pojawili się pozostali mężczyźni, stała obok niewielkiego ogniska przesłoniętego kocami, które wygrzebał ze swoich sakw i rozwiesił na gałęziach. Oczywiście nie potrzebowała ani ognia, ani prywatności, żeby wyschnąć. Odpowiedni splot Ognia wyciągnął każdą kroplę z jej włosów i odzienia, które zostawiła na sobie. On jednak jakby tego nie dostrzegał. Niemniej jednak rozkoszowała się ciepłem płomieni, a zresztą i tak musiała pozostać za kocami dostatecznie długo, by mężczyzna pomyślał, że osuszyła się przy ogniu.

Z premedytacją przywarła do *saidara*.

Przybyli pozostali dwaj mężczyźni i wypyтали go, czy „ona” wjechała w ślad za nim do lasu. A więc wiedzieli? Ludzie wprawdzie w tych czasach strzegli się bandytów, ale zobaczyli samotną kobietę i uznali, że jedzie za nimi? To wydawało się podejrzanе.

– Cairhienianka, Lan? Ty już pewnie widziałeś kiedyś taką w samej skórze, ale ja nigdy. – Dzięki wypełniającej ją Mocy usłyszała te słowa, a także inny jeszcze odgłos. Szelest stali ocierającej się o skórę.

Miecz opuszczający pochwę. Przygotowawszy kilka splotów, które powstrzymałyby tych trzech, zrobiła szczelinę w kocach, by wyrzeć na zewnątrz.

Ku jej zdumieniu, mężczyzna, który ją wrzucił do wody – Lan? – stał tyłem do koców. To on trzymał miecz w ręku. Patrzący mu w oczy Arafelianin wyglądał na zdziwionego.

– Pamiętasz chyba widok Tysiąca Jezior, Ryne – rzekł zimno Lan. – Czy kobieta potrzebuje ochrony przed twoim wzrokiem?

Przez chwilę myślała, że Ryne dobędzie miecza, mimo że Lan swój już trzymał w ręku, ale starszy mężczyzna, mocno wyniszczony i siwiejący, aczkolwiek równie wysoki jak pozostali, załagodził sytuację, odwodząc tamtych na pewną odległość i mówiąc o jakiejś grze, która nazywa się „siódemki”. Dziwna to była gra. Lan i Ryne

usiedli na skrzyżowanych nogach, z mieczami w pochwach, po czym dobyli je bez żadnego ostrzeżenia, ostrze jednego błysnęło przed gardłem drugiego, zatrzymując się tuż przy skórze. Starszy mężczyzna wskazał Ryne'a, pochowali miecze, po czym zrobili to znowu. I tak to jakiś czas trwało. Być może Ryne nie był aż taki pewien siebie, na jakiego wyglądał.

Gdy tak czekała za kocami, usiłowała sobie przypomnieć, czego ją uczono o Malkier. Niewiele tego było oprócz faktów historycznych. Ryne pamiętał Tysiąc Jezior, więc on też musiał być Malkieri. I jeszcze było coś związanego z kobietami, które znalazły się w potrzebie. Skoro już jest z nimi, to postąpi właściwie, jeśli z nimi zostanie i dowie się, ile można.

Kiedy wyszła zza koców, wiedziała już, co robić.

– Powołuję się na prawo samotnej kobiety – oznajmiła oficjalnie. – Podróżuję do Chachin i dopraszam się ochrony waszych mieczy. – Wcisnęła w dłoń każdego z mężczyzn grubą monetę. Nie była tak do końca pewna, na czym polega ten niedorzeczny pomysł z „samotną kobietą”, ale srebro zazwyczaj dobrze działało na ludzi. – I jeszcze dwie, płatne w Chachin.

Reakcje nie były takie, jakich się spodziewała. Ryne obrócił monetę w palcach, przyglądając się jej ponuro. Lan popatrzył na swoją bez wyrazu i chrząknąwszy, schował ją do kieszeni kaftana. Dała im wprawdzie kilka swoich ostatnich marek wybitych w Tar Valon, ale monety z Tar Valon można było znaleźć wszędzie, na równi z walutą innych krajów.

Dowiedzenie się czegokolwiek okazało się trudne. Niemożliwe. Najpierw byli zajęci rozbijaniem obozowiska, doglądaniem koni, rozpalaniem większego ognia. Bez niego wyraźnie nie mieli zamiaru stawiać czoła nocy nowej wiosny. Bukama i Lan ledwie powiedzieli słowo przy kolacji złożonej z sucharów i suszonego mięsa, której ona bardzo starała się nie jeść zbyt zachłannie. Jej żołądek aż za dobrze pamiętał, że tego dnia jeszcze nic nie wzięła do ust. Ryne zagadywał ją, i to ze sporym wdziękiem, uśmiechał się, ukazując dołki w policzkach, a w jego niebieskich oczach igrały isierki, ale nawet nie dał jej wspomnieć o „Bramach Niebios” czy o Aes Sedai. Kiedy wreszcie spytała, po co jadą do Chachin, znienacka posmutniał.

– Każdy mężczyzna musi gdzieś umrzeć – powiedział cicho i odszedł na bok, by rozłożyć sobie koce.

Lan pierwszy wziął wartę, usadowiwszy się na skrzyżowanych nogach nieopodal Ryne'a, a kiedy Bukama ugasił ognisko i owinał się w koce obok Lana, utkała wokół każdego z mężczyzn zabezpieczenie z Ducha. Sploty Ducha, które nałożyła na śpiących, obudzą ją, gdyby któryś choćby poruszył się w nocy, nie alarmując ich samych. Oznaczało to budzenie się za każdą zmianą warty, ale to nie było takie straszne. Jej koce leżały w sporej odległości od legowisk mężczyzn i kiedy się kładła,

Bukama mruknął coś, czego nie dosłyszała. Za to dostatecznie wyraźnie usłyszała odpowiedź Lana:

– Prędzej zaufałbym jakiejś Aes Sedai, Bukama. Idź spać.

Cały gniew, który do tej pory w sobie tłumiała, rozgorzał na nowo. Ten człowiek wrzucił ją do lodowatego stawu, nie przeprosił, on...! Przeniosła, splot Powietrza z Wodą i odrobiną Ziemi. Od powierzchni stawu uniósł się gruby słup wody, który jął rosnąć coraz wyżej i wyżej w świetle księżyca, a potem zginać się w łuk. Wreszcie spadł na tego durnia, który nie strzegł swego języka!

Bukama i Ryne, klnąc głośno, poderwali się na nogi, ale ona nie przerwała tej ulewy, dopóki nie doliczyła do dziesięciu. Uwolniona woda gwałtownie zalała całe obozowisko. Spodziewała się zobaczyć przemokniętego, w połowie zamrożonego mężczyznę gotowego się uczyć należytego szacunku. Ociekał wilgocią, u jego stóp miało się kilka małych rybek. Stał. Z dobytym mieczem.

– Pomiot Cienia? – spytał Ryne z niedowierzaniem, a Lan natychmiast mu odpowiedział:

– Może! Strzeż tej kobiety, Ryne! Bukama, ty od zachodu, ja od wschodu!

– To nie Pomiot Cienia! – warknęła Moiraine, sprawiając, że zatrzymali się jak wryci i spojrzeli na nią wytrzeszczonymi oczyma. Żałowała, że nie widzi dokładniej ich twarzy ukrytych w księżycowych cieniach, ale one z kolei, rozedrgane od chmur, wspomagały ją także, maskując jej tajemnicę. Z wielkim wysiłkiem nadała swemu głosowi cały chłód opanowania Aes Sedai, jaki mogła z siebie wykrzesać. – Okazywanie Aes Sedai czegokolwiek innego oprócz szacunku to nierozważny czyn, panie Lan.

– Aes Sedai? – szepnął Ryne. Mimo mętnego światła wyraźnie było widać zgrozę na jego twarzy. A może był to strach.

Żaden się nie odezwał, tylko Bukama burczał pod nosem, wywlekając posłanie z błota. Ryne długo przenosił swoje koce, kłaniając jej się nieznacznie za każdym razem, gdy zerknęła w jego kierunku. Lan nie próbował się osuszyć. Najpierw zaczął wybierać miejsce, gdzie mógłby pełnić wartę, potem jednak zatrzymał się i usiadł tam, gdzie stał, w błocie i wodzie. Moiraine byłaby to uznała za gest pokory, gdyby na nią nie spojrzał, tym razem niemalże patrząc jej w oczy. Jeżeli to była pokora, to królowie byli najpokorniejszymi ludźmi na ziemi.

Rzecz jasna ponownie utkała wokół nich zabezpieczenia. Zdradziła się, więc tym bardziej było to konieczne. Niemniej jednak jeszcze przez jakiś czas nie kładła się do snu. Miała sporo tematów do przemyśleń. Przede wszystkim żaden z mężczyzn nie zapytał, dlaczego za nimi pojechała. I ten Lan, który nie dał się zaskoczyć, tylko od razu poderwał się na nogi! A kiedy już odpływała w sen, z jakiegoś powodu myślała o Rynie. Szkoda, że zaczął jej się bać. Miał dużo wdzięku, poza tym nie miała nic

przeciwko temu, że jakiś mężczyzna pragnął zobaczyć ją bez ubrania, tylko że mówił o tym innym.

Lan podejrzewał od początku, że o podróży do Chachin z pewnością będzie chciał jak najszybciej zapomnieć, i jego obawy się potwierdziły. Dwakroć przeżyli burzę, lodowaty deszcz ze śniegiem, ale to wcale nie było najgorsze. Bukama był wściekły, że Lan odmówił okazania należnych względów niepozornej kobiecie, która mieniła się Aes Sedai, ale znał też racje, jakie za tym stały, i nie naciskał. Tylko narzekał, bez przerwy właściwie, kiedy sądził, że Lan niczego nie słyszy: niezależnie od tego, czy tamta jest Aes Sedai, czy nie, mówił, przyzwoity mężczyzna powinien przestrzegać określonych form. Jakby jego przekonania różniły się od przekonań Lana. Ryne krzywił się i patrzył na nią rozszerzonymi oczami, usługiwał i biegał dookoła, nie ustając w komplementach, jak choćby: „śnieżny jedwab skóry” albo: „głębokie, ciemne stawy jej oczu”, zachowując się niczym dobrze wytresowany dworak. Wydawał się całkowicie rozdarty między pełnym ogłupieniem a przerażeniem, czego nie potrafił przed nią ukryć. To już byłoby wystarczająco źle, jednak Ryne zachowywał się rozsądnie. Lan zaś więcej niżli raz w życiu miał okazję spotkać się oko w oko z Cairhienianami, a każdy z nich próbował wplątać go w jakąś intrygę albo nawet kilka. Podczas dziesięciu dni spędzonych w południowym Cairhien, które szczególnie wbiły mu się w pamięć, sześć razy omalże nie został zabity i dwukrotnie prawie nie ożeniony. Cairhienianka i jednocześnie Aes Sedai? Nie było chyba gorszej kombinacji.

Ta Alys – sama kazała nazywać się Alys, w co zważył od początku, tak zresztą, jak nie dowierzał pierścieniowi z Wielkim Wężem, który mu pokazała, szczególnie po tym, gdy natychmiast schowała go do sakwy, mówiąc, iż nikt nie może się dowiedzieć, że ona jest Aes Sedai – otóż ta „Alys” była doprawdy wredna. Normalnie nie zwróciłby na to uwagi, czy to u mężczyzny, czy kobiety, niezależnie od tego, czy byłby gorący, czy zimny. Ona była zimna jak lód. Tej pierwszej nocy siedział w całkiem przemoczonych rzeczach, aby dać jej do zrozumienia, że akceptuje to, co robiła. Skoro mieli podróżować razem, lepiej żeby od początku było jasne, iż rachunki zostały wyrównane. Z tym że ona nie rozumiała.

Jechali ostrym tempem, ani razu nie zatrzymując się na dłużej w mijanych wioskach, większość nocy przesypiali pod gwiazdami, ponieważ żadne z nich nie miało pieniędzy na nocleg w gospodzie, przynajmniej nie dość, by zapłacić za czworo ludzi i ich konie. Spał przy każdej nadarzającej się okazji. Drugiej nocy „Alys” nie zmrzyła oka aż do świtu i zadbała o to, aby on również się nie położył; gdy tylko skłonił głowę, czuł ostre podcięcia niewidzialnego bata. Trzeciej nocy jakimś sposobem do jego ubrania i butów dostał się piasek, całe garście. Udało mu się go

częściowo wytrześć, ale mnóstwo jeszcze zostało i następnego dnia jechał cały upiaszczony. Czwartej nocy... Nie potrafił pojąć, jak jej się udało zmusić mrówki, by wpełzły pod jego bieliznę, i sprawić, by wszystkie gryzły go równocześnie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że było to jej dzieło. Stała nad nim, kiedy gwałtownie otworzył oczy, i wydawała się zaskoczona, że nie krzyczy. Najwyraźniej zależało jej na jakiejś reakcji z jego strony, jakimś działaniu, ale nie potrafił zrozumieć, co to miałyby być. Z pewnością nie prośba o ochronę. Ochrona Bukamy była całkowicie wystarczająca, a poza tym ona dała im pieniądze. Ta kobieta nie potrafiła rozpoznać obrazy, nawet wtedy, gdy sama dawała powód.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyli ją na drodze, a mijała właśnie wozy kupców i towarzyszących im strażników, Bukama podsunął im myśl, dlaczego też samotna kobieta miałaby podążać za trzema mężczyznami. Jeżeli sześciu uzbrojonych w miecze mężczyzn nie zdoła zabić człowieka w pełni dnia, rozumował, być może uda się to kobiecie po nocy. Bukama oczywiście nie wspominał nawet o Edeyn. W rzeczywistości było to zupełnie nieprawdopodobne, ponieważ już by wówczas nie żył, miast tylko zostać przemoczony do nitki, jednak Alys nawet się nie zająknęła, żeby coś wyjaśnić, mimo że aż było widać, jak bardzo Bukama na to czeka. Edeyn mogła posłać tę kobietę, aby ich śledziła, sądząc, że w jej obecności nie będzie zbyt czujny. A więc Lan ją obserwował. Jednakże jego podejrzenia, jeśli w ogóle można było to tak nazwać, wzbudziło tylko to, że w każdej wiosce rozpytywała się o coś, zawsze trzymając się z dala od nich i milknąc, gdy podchodzili bliżej. Jednak dwa dni za Canluum przestała indagować ludzi. Być może znalazła odpowiedź na swoje pytanie w wiosce targowej zwanej Ravinda, jeśli jednak nawet tak było, nie potrafił dostrzec zadowolenia na jej twarzy. Tej nocy odkryła w pobliżu ich obozowiska kępe pęcherzycy, a wtedy, ku swemu zawstydzeniu, Lanomalże nie stracił panowania nad sobą.

Jeżeli Canluum można było określić jako miasto wzgórz, Chachin należało nazwać co najmniej miastem gór. Trzy najwyższe wznosiły się niemalże na milę ku niebu, mimo ściętych szczytów, a wszystkie lśniły w słońcu glazurowaną różnymi barwami dachówką na domach i pałacach. Dachy najwyższego z nich, Pałacu Aesdaishar, błyszczały najjaśniej ze wszystkich, czerwienią i zielenią, Czerwony Koń w skoku powiewał ponad jego największą kopułą. Miasto otaczały potrójnym kręgiem zwieńczone wieżami mury obronne, ponadto sucha fosa szerokości stu kroków, przez którą przerzucono ponad dwadzieścia mostów, przy czym krańca każdego bronił potężny barbakan. Ruch uliczny był tutaj tak gęsty, natomiast Ugór tak odległy, że gwardziści z Czerwonym Koniem na piersiach nawet w części tak nie przykładali się do swych obowiązków jak w Canluum; niemniej pokonanie Mostu Jutrzenki w strumieniach ludzi i wozów płynących w obie strony wciąż zabierało немало

czasu. Kiedy już znaleźli się w środku, Lan nie marnował czasu nawet na ściąganie wody.

– Znajdujemy się pod osłoną murów Chachin – powiedział, zwracając się do kobiety. – Wywiązałem się ze ślubowania. Zatrzymaj swoje monety – dodał zimno, gdy sięgnęła do sakiewki.

Ryne natychmiast zaczął coś mamrotać o obrażaniu Aes Sedai i uśmiechać się przepraszająco, natomiast Bukama basem gderał o mężczyznach, co mają maniere wieprzy. Sama kobieta popatrzyła na Lana z takim brakiem wyrazu, że naprawdę mogłaby być tą, którą się mieniła. Niebezpieczne pretensje, jeśli bezpodstawne. Jeżeli jednak prawdziwe, to...

Zawrócił Kocięgo Tancerza i pogalopował ulicą, roztrącając zarówno pieszych, jak i nielicznych konnych. Bukama i Ryne dogonili go dopiero w połowie drogi na górę, na której znajdował się Aesdaishar. Jeżeli Edeyn była w Chachin, z pewnością tam właśnie ją znajdą. Bukama i Ryne uznali, że mądrzej będzie zachować całkowite milczenie.

Pałac zajmował cały spłaszczony szczyt górski. Ogromna, lśniąca budowla gęsto utkana kopułami i wysokimi balkonami, rozpościerała się na obszarze pięćdziesięciu hajdów. Właściwie było to niewielkie miasto. Zdobione Czerwonym Koniem wielkie bramy z brązu stały otwarte na oścież pod pokrytymi czerwoną glazurą łukami, a kiedy już Lan się przedstawił – jako Lan Mandragoran, nie zaś al'Lan – sztywni strażnicy natychmiast się uśmiechnęli i zgięli w ukłonach. Służący w czerwieniach i zieleniach podbiegli, aby zabrać ich konie i wskazać drogę do pokoi odpowiednich dla ich pozycji. Bukama i Ryne dostali po małym pomieszczeniu nad koszarami, Lana ulokowano w trzypokojowym apartamencie o ścianach wyłożonych jedwabnymi draperiami, z sypialnią, której okna wychodziły na pałacowe ogrody, a ponadto przydzielono mu trzy służące o surowych twarzach oraz chudego młodzieńca na posyłki.

Trochę czasu poświęcił na ostrożne wypytywanie służby, aż w końcu zdobył odpowiedzi, na których mu zależało. Królowa Ethenielle nie wróciła jeszcze z podróży po centrum kraju, jednak Brys, Księżę Małżonek, był w pałacu. Podobnie jak lady Edeyn Arrel. Kobieta uśmiechnęła się, kiedy o tym wspomniała – od początku wszyscy wiedzieli, o co mu chodzi.

Umył się sam, potem jednak pozwolił, aby kobiety go ubrały. To, że były służącymi, nie stanowiło powodu, by je obrażać. Miał ze sobą białą jedwabną koszulę, która znajdowała się w dość przyzwoitym stanie, oraz dobry kaftan z czarnego jedwabiu haftowany na rękawach w złote róże z gatunku krwawnicznych na tle ich haczykowatych kolców. Róże te symbolizowały utratę i pamięć o niej. Potem odesłał kobiety, nakazując im strzec swoich drzwi, i usiadł, czekając. Spotkanie z Edeyn musi

się odbyć w miejscu publicznym, najlepiej na oczach tak wielu ludzi, jak to tylko możliwe.

Przyszło zaproszenie do jej prywatnych komnat, które zignorował. Zwykła grzeczność wymagała pozostawienia mu trochę czasu, by mógł wypocząć po podróży, jednak wydawało mu się, że zanim *shatayan* przyniosła zaproszenie od Brysa, upłynęła wieczność. *Shatayan* okazała się stateczną, siwiejącą kobietą zachowującą godność, której pozazdrościć by jej mogła niejedna królowa. Była przełożoną całej pałacowej służby i stanowiło dlań zaszczyt, że zechciała być jego przewodnikiem. A goście potrzebowali przewodnika, by znaleźć drogę w labiryntach Pałacu. Miecz zostawił na lakierowanym stojaku obok drzwi. Tutaj na nic mu się nie przyda, poza tym, gdyby go przypasał, Brys mógłby się poczuć obrażony, znaczyłoby to bowiem, że gość nie czuje się bezpieczny w jego dziedzinie.

Z początku spodziewał się całkowicie prywatnej audiencji, jednak *shatayan* zawiodła go do komnaty pełnej ludzi. Służący poruszali się bezszelestnie, proponując przyprawiane korzeniami wino lordom i damom w jedwabiach haftowanych w godła ich Domów oraz bardziej pospolitym gościom ubranym w świetne wełny zdobione godłami ważniejszych gildii. I jeszcze innym... Lan dostrzegł *hadori* na czołach mężczyzn, którzy, jak doskonale wiedział, nie nosili ich od dziesięciu lat albo i więcej. Kobiety z włosami równo przyciętymi na wysokości ramion albo i wyżej miały namalowane na czołach maleńkie kropki *ki'sain*. Niektórzy witali go skinieniem głowy, inni głębokimi ukłonami – oto byli mężczyźni i kobiety, którzy postanowili przypomnieć sobie o Malkier.

Księżę Brys, krępy mężczyzna o grubych rysach, był już dobrze w średnich latach. Od pierwszego spojrzenia widać było, że bardziej stosownie wyglądałby w zbroi niżli w tych zielonych jedwabiach, chociaż po prawdzie należało stwierdzić, że przywykł do obu tych strojów. Brys był nie tylko małżonkiem Ethenielle, lecz również jej Mistrzem Miecza i generałem jej armii. Chwycił Lana za ramię, kiedy ten chciał się uklonić.

– Lan, nie mam zamiaru dopuścić, by człowiek, który dwukrotnie uratował mi życie na Ugorze, zachowywał się wobec mnie w ten sposób. – Zaśmiał się. – Poza tym twoje przybycie sprawiło chyba, że część twego szczęścia przeszła na Dyrka. Rano spadł z balkonu, z dobrych pięćdziesięciu stóp, i nie złamał sobie nawet jednej kości. – Skinął na swego drugiego syna, ładnego ośmioletniego chłopca o ciemnych oczach, w podobnym kaftanie, jaki nosił on sam. Skroń chłopca znaczył wielki siniak, poruszał się też dosyć sztywno, co wskazywało na inne jeszcze, niewidoczne obrażenia, jednak udało mu się uklonić Lanowi, nie łamiąc etykiety, i tylko szeroki od ucha do ucha uśmiech psuł nieco wrażenie ceremonialności. – Powinien być na lekcjach – powiedział Brys – ale tak bardzo chciał się z tobą zobaczyć, że zupełnie

zapomniał o wszystkim, czego się nauczył, nadto skaleczył się mieczem.

Chłopak zmarszczył brwi i zaprotestował, że to nieprawda, nigdy by się przecież nie skaleczył bronią.

Lan równie ceremonialnie odpowiedział Dirykowi na jego ukłon, po czym musiał sobie poradzić z zalewem pytań chłopca. Tak, walczył z Aielami, zarówno na południu, jak i w marchiach Shienaru, ale oni byli tylko ludźmi, choć wielce niebezpiecznymi, nie zaś gigantami wysokimi na dziesięć stóp; rzeczywiście przed walką zasłaniali twarze, ale nie zjadali swoich zmarłych. Nie, Biała Wieża nie jest tak wysoka jak góra, chociaż wyższa od wszelkich ludzkich budowli, jakie Lan widział w życiu, nawet od Kamienia Łzy. Gdyby dać mu taką możliwość, chłopak byłby gotów wyciągnąć z niego wszystko, co wiedział o Aielach, oraz cudach wielkich miast na południu – Tar Valon i Far Madding. Z pewnością by nie uwierzył, że Chachin jest równie wielkie jak każde z tamtych.

– Lord Mandragoran z pewnością później chętnie wypełni luki w twojej wiedzy – zwrócił się Brys do syna. – Teraz jednak będzie musiał się spotkać z kimś innym. Zmiataj do Pani Tuval i swoich książek.

Edeyn wyglądała zupełnie tak samo, jak Lan ją zapamiętał. Och, postarzała się o dziesięć lat, siwizna oprószyła jej skronie, w kącikach oczu pojawiło się kilka nowych zmarszczek, ale te wielkie ciemne oczy pochwyciły go z całą swoją siłą. Jej *ki'sain* wciąż był biały, jak przystoi wdowie, a włosy dalej zwisały rozplecione, czarnymi falami spływając do talii. Przywdziała suknię z czerwonego jedwabiu, na modłę Domani, bardzo ściśle przylegającą do ciała i nieco zbyt przejrzystą. Była piękna, jednak na to nawet ona nie mogła nic poradzić.

Kiedy jej się skłonił, przez krótką chwilę tylko na niego patrzyła, zimno i z namysłem.

– Chyba byłoby ci... łatwiej, gdybyś przyszedł na moje pokoje – powiedziała cicho, zdając się nie dbać o to, że Brys wszystko słyszy.

A potem, ku jego całkowitemu zdumieniu, uklękła wdzięcznie przed nim i ujęła jego rękę w swe dłonie. – Ja, Edeyn ti Gemallen Arrel, składam przysięgę wierności lennej al'Lanowi Mandragoranowi, Lordowi Siedmiu Wież, Lordowi Jezior, prawdziwemu Mieczowi Malkier. Niech z jego ręki zginie Cień!

Nawet Brys wydawał się zdziwiony. Gdy Edeyn całowała palce Lana, w powietrzu zawisła przedłużająca się cisza. Potem ze wszystkich stron rozległy się wiaty. Okrzyki: „Złoty Żuraw!”, a nawet: „Kandor nie opuści Malkier!”

W tym zamieszaniu mógł wreszcie uwolnić dłonie, po czym pomógł jej wstać.

– Moja pani... – zaczął napiętym głosem.

– Będzie, co musi być – powiedziała, kładąc mu dłoń na ustach. A potem rozpląnęła się w tłumie tych, którzy chcieli być blisko niego, gratulując mu, i którzy

w tej samej chwili również przysięgliby mu wierność, gdyby im tylko na to pozwolił.

Uratował go Brys, odciągając na długi krużganek o kamiennej balustradzie, z którego rozciągał się widok na dachy położonych dwieście stóp niżej domów. Krużganek ten cieszył się sławą miejsca, do którego Brys wycofywał się, kiedy potrzebował odrobiny prywatności, toteż nikt nie poszedł za nimi. Prowadziły doń tylko pojedyncze drzwi, nie było okien, z pałacu nie docierał żaden dźwięk.

– Co zrobisz? – zapytał wprost starszy mężczyzna, kiedy spacerowali po krużganku.

– Nie mam pojęcia – odparł Lan. Wygrał jedynie potyczkę, ale czuł się zupełnie ogłuszony tym, jak łatwo mu poszło z tak groźnym przeciwnikiem, kobietą, która część jego duszy wplotła sobie we włosy.

Przez resztę spotkania rozmawiali przyciszonymi głosami o polowaniu i bandytach oraz o tym, czy tegoroczne zamieszki na Ugorze mogą wkrótce się skończyć. Brys żałował, że wycofał swoją armię z wojny przeciwko Aielom, ale nie było innego wyjścia. Omawiali plotki dotyczące mężczyzny, który potrafił przenosić – każda z nich wskazywała inne miejsce jego pobytu, Brys sądził, że to kolejny twór rozgorączkowanych wyobraźni, a Lan zgodził się z nim – oraz o Aes Sedai, które zdawały się być wszędzie, ale dlaczego, tego nie wiedział nikt. Ethenielle napisała do niego, że w wiosce na trasie, którą zdążała, dwie siostry złapały kobietę udającą Aes Sedai. Kobieta potrafiła przenosić, ale na nic jej się to nie zdało. Te dwie prawdziwe Aes Sedai powlokły ją piszczącą przez całą wioskę, a potem zmusiły, by wyznała swoje zbrodnie przed wszystkimi mieszkającymi tam mężczyznami i kobietami. Potem jedna z siostr wyruszyła, by odwieźć tamtą do Tar Valon, gdzie czekała na nią prawdziwa kara, na czymkolwiek by ona miała polegać. Lan przyłapał się na tym, że ma nadzieję, iż owa Alys nie kłamała, mówiąc, że jest prawdziwą Aes Sedai.

Miał także nadzieję, że tego dnia uniknie spotkania z Edeyn, kiedy jednak odprowadzono go do jego komnat, czekała już tam nań, rozmarzona, w jednym ze złoconych foteli. Nigdzie nie było widać służących.

– Obawiam się, że już wcale nie jesteś piękny, najdroższy – powiedziała, gdy wszedł. – Sądzę, że być może nawet będziesz wstrętny, kiedy się zestarzejesz. Ale zawsze bardziej niż twoja twarz podobały mi się twoje oczy. I twoje ręce.

Przystanął jak wryty, wciąż ściskając klamkę.

– Moja pani, nie minęły dwie godziny, jak przysięgałaś...

Przerwała mu:

– I będę posłuszna mojemu królowi. Ale król nie jest królem sam na sam ze swoją *carneira*. Przyniosłam twoje *daori*. Podaj mi je.

Jakby kierowane własną wolą, jego oczy podążyły za jej gestem ku płaskiej lakierowanej szkatułce na niewielkim stoliczku obok drzwi. Podniesienie osadzonego

na prostych zawiasach wieczka wymagało odeń tyle wysiłku, jakby dźwigał głaz. Wewnątrz spoczywało zwinięte pasmo splecionych włosów. Potrafił przypomnieć sobie każdą chwilę tego ranka po ich pierwszej nocy spędzonej razem, kiedy zabrała go do kobiecej części Królewskiego Pałacu w Fal Moran, a potem pozwoliła damom i służącym patrzeć, jak obcina jego włosy do ramion. Nawet powiedziała im dokładnie, co to oznacza. Wszystkie kobiety były rozbawione, żartowały, kiedy siedział u stóp Edeyn i splatał dla niej *daori*. Edeyn stosowała się do obyczajów, ale na swój własny sposób. Włosy z upływem lat zrobiły się miękkie i giętkie – musiała myć je mydłem każdego dnia.

Powoli przeszedł przez pomieszczenie, ukląkł przed nią i w wyciągniętych dłoniach podał jej *daori*.

– Jako symbol tego, co jestem ci winien, Edeyn, teraz i na zawsze. – Jeśli nawet w jego głosie nie było już nic z zapachu tamtego pierwszego ranka, z pewnością zrozumiała.

Nie przyjęła splotu. Zamiast tego wpatrzyła się weń uważnie.

– Nie było cię aż tak długo, żebyś zapomniał nasze obyczaje – oznajmiła na koniec. – Chodź.

Powstała, schwyciła go za nadgarstek i zaciągnęła go do okna wychodzącego na ogród znajdujący się dziesięć kroków poniżej. Dwaj służący podlewali rośliny wodą z wiader, młoda kobieta kroczyła po ścieżce w błękitnej sukience jaskrawej jak wczesne kwiaty, które rosły pod drzewami.

– Moja córka, Iselle. – Na moment głos Edeyn zabarwiły duma i uczucie. – Pamiętasz ją? Teraz ma siedemnaście lat. Jeszcze nie wybrała swego *carneira* – młodzi mężczyźni byli wybierani przez swoją *carneira*, młode kobiety same wybierały swoich – ale sądzę, że już czas, by wyszła za mąż.

Niewyraźnie, jak przez mgłę, pamiętał dziewczynkę, która zawsze sprawiała, że służący mieli mnóstwo do roboty, oczko w głowie matki. Wówczas jednak jego myśli całkowicie wypełniała Edeyn.

– Nie ma najmniejszych wątpliwości, że jest równie piękna jak jej matka – powiedział grzecznie. Skręcał *daori* w palcach. Póki je trzymał, miała nad nim przewagę, niepodważalną przewagę, ale w końcu musiała je wziąć. – Edeyn, musimy porozmawiać.

Zignorowała jego słowa.

– Czas, abyś ty również się ożenił, najdroższy. Ponieważ żadna z twoich kuzynek nie żyje, ja będę musiała wszystko zaaranżować.

Aż dech mu zapało w piersiach, gdy pomyślał o możliwych implikacjach. Z początku nie mógł uwierzyć.

– Z Iselle? – zapytał ochryple. – Z twoją córką? – Mogła sobie na własny sposób

dochowować obyczajów, ale to już było coś skandalicznego. – Nie dam się wmanewrować w coś tak haniebnego, Edeyn. Ani przez ciebie, ani przez to. – Potrząsnął *daori* przed jej oczyma, jednak ona tylko spojrzała na nie i uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że nikt cię nie będzie do tego zmuszał, najdroższy. Jesteś mężczyzną, a nie chłopcem. Po prostu zastosujesz się do obyczaju. – Urwała, przesunęła placem po splocie włosów drżącym w jego dłoni. – Być może rzeczywiście powinniśmy porozmawiać.

Zaprowadziła go jednak do łóżka.

Moiraine spędziła większość dnia na zadawaniu dyskretnych pytań w gospodach najbardziej niebezpiecznych dzielnic Chachin, gdzie jej jedwabna suknia i spódnice rozcięte do konnej jazdy przyciągały spojrzenia zarówno właścicieli, jak i klientów. Jeden pomarszczony człowiek, na którego twarzy zastygł na trwałe złośliwy grymas, powiedział jej, że jego przybytek zupełnie się nie nadaje dla kogoś takiego jak ona, i próbował ją zaprowadzić w bardziej stosowne miejsce. Zezowata kobieta o okrągłej twarzy zarechotała i oznajmiła, że wieczorni klienci zjedzą taką delikatną ślicznotkę na kolację, jeżeli nie zemknie stąd szybko, natomiast starszy mężczyzna o ojcowskiej twarzy, różowych policzkach i radosnym uśmiechu zbyt chętnie częstował ją przyprawionym korzeniami winem, które przyrządzał tak, by nie mogła tego widzieć. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko zacisnąć zęby i pójść dalej. To było właśnie miejsce z rodzaju tych, w których Suan tak lubiła bywać, kiedy jako Przyjętym pozwalano im na jedną z rzadkich wypraw do Tar Valon, tanie i z pewnością omijane przez siostry, jednak pod żadnym nazwiskiem nie zatrzymała się tu niebieskooka Tairenianka. Chłodny dzień powoli ustępował miejsca mroźnej nocy.

Prowadziła właśnie Strzałę wśród wydłużających się cieni, wpatrując się w mrok, który jakoś podejrzanie dygotał w zaułkach, i myślała, że na dziś będzie musiała już chyba zrezygnować, kiedy od tyłu podeszła do niej Suan. Zaskoczyła ją.

– Liczyłam, że tu zajrzysz, kiedy już przyjedziesz do miasta – powiedziała, ponaglająco biorąc ją pod ramię. – Wejźmy do środka, zanim zamarznę.

Suan również nie spuszczała oka z tych cieni w mrocznej alejce. Muskała rękojęć noża przy pasie, jakby Moc nie mogła sobie poradzić z dziesiątkami napastników. Co prawda, by się nie zdradzić, nie mogły jej użyć. Zapewne najlepiej było szybko stąd odejść.

– To nie jest odpowiednia dla ciebie okolica, Moiraine. Są tutaj ludzie, którzy przyrządziliby z ciebie potrawkę, zanimbyś się zorientowała, że trafiłaś do garnka. Śmiejesz się czy krztusisz?

Jak się okazało, Suan zatrzymała się w najbardziej szacownej z okolicznych

oberży, „Gwieździe Wieczornej”, która służyła średnio zamożnym kupcom, zwłaszcza kobietom, pragnącym uniknąć hałasu i nieprzyzwoitego zachowania we wspólnej sali. Dwóch mężczyzn zbudowanych niczym byki dbało, by nic takiego się tu nie zdarzyło. Izba Siuan była schludna i ciepła, choć raczej mała. Szczupła oberżystka, sprawiająca wrażenie osoby bardzo rzeczowej, nie czyniła żadnych obiekcji, by Moiraine dołączyła do Siuan. Tyle że miały zapłacić za dwie osoby.

Kiedy Moiraine wieszała swój płaszcz na kołku, Siuan umościła się ze skrzyżowanymi nogami na nieszczególnie szerokim łóżku. Od czasu Canluum najwyraźniej odzyskała nieco ducha. Wyraźny cel zawsze sprawiał, że aż kipiała entuzjazmem.

– Ale miałam przejścia, Moiraine, zaraz ci opowiem. Ten głupi koń omal nie stratował mnie na śmierć, gdy tu jechałam. Stwórca zrobił ludzi po to, aby chodzili albo pływali łodziami, a nie wytrząsali się na grzbietach zwierząt. Przypuszczam, że ta kobieta, Sahera, nie była tą, o którą chodziło, bo podskakiwałabyś pewnie jak składający ikrę czerwonogon. Ja znalazłam Ines Demain niemal natychmiast, ale w miejscu, gdzie za nic nie mogłam się do niej dostać. Niedawno owdowiała, z pewnością jednak ma syna. Nazwała go Rahien, ponieważ widziała świt nad Górą Smoka. Tyle głosi uliczna plotka. Wszyscy uważają, że to głupi powód, by tak nazwać dziecko.

– Syn Avene Sahery urodził się o tydzień za wcześnie i do tego o trzydzieści mil od Góry Smoka – oznajmiła Moiraine, kiedy Siuan przerwała, by nabrać tchu. Stłumiła dreszcz, który ją na chwilę przeszedł. Że tamta kobieta widziała świt nad górą, nie dowodziło, iż dziecko musiało się na niej urodzić. W pokoju nie było krzesła czy choćby stołka, nie było zresztą na nie miejsca, usiadła więc w nogach łóżka. – Skoro jednak znalazłaś Ines i jej syna, dlaczego nie mogłaś się z nią zobaczyć? – Lady Ines, jak się okazało, przebywała w Pałacu Aesdaishar, gdzie Siuan mogłaby z łatwością wejść jako Aes Sedai, w innej jednak roli tylko wówczas, gdyby zatrudniono ją jako służącą. Pałac Aesdaishar.

– Zajmiemy się tym rano – westchnęła Moiraine. To oznaczało podjęcie ryzyka, jednak lady Ines należało przepyttać. Żadna z kobiet, do których dotarła Moiraine, nawet z daleka nie widziała Góry Smoka, kiedy rodziła dziecko. – Czy odkryłaś jakieś ślady działalności... działalności Czarnych Ajah? – Musi przywyknąć do używania tego miana.

Siuan spod zmarszczonych brwi wbiła wzrok w swoje kolana i wygładziła spódnice.

– To dziwne miasto, Moiraine – oznajmiła po chwili milczenia. – Lamy na ulicach i kobiety, które się pojedynkują, nawet jeśli temu zaprzeczają, a także więcej plotek, niż potrafi rozpowszechnić dziesięciu mężczyzn po dziurki w nosie pełnych

piwa. Niektóre z nich są nawet interesujące. – Pochyliła się i położyła dłoń na kolanie Moiraine. – Wszyscy gadają o młodym kowalu, który umarł z przetrąconym karkiem kilka nocy temu. Nikt wiele się po nim nie spodziewał, ale mniej więcej przed miesiącem zrobił się z niego prawdziwy mówca. Przekonał swoją gildię, aby zbierała pieniądze na biedaków, którzy w obawie przed bandytami przybywali do miasta, na ludzi w żaden sposób nie związanych z którąś z gildii bądź którymś z Domów.

– Siuan, co, na Światłość...?

– Tylko posłuchaj, Moiraine. Ten kowal zebrał mnóstwo srebra, było tego z osiem sakw, i wygląda na to, że właśnie szedł z nim do siedziby swej gildii, kiedy został zamordowany. Głupiec niósł wszystko sam. Ja zaś zmierzam do tego, że ci, którzy mu to zrobili, nie zabrali nawet jednej przeklętej monety, Moiraine. A na jego ciele nie było choćby śladu przemocy, pominąwszy złamany kark.

Przez dłuższą chwilę patrzyły sobie w oczy. Moiraine pokręciła głową.

– Nie pojmuję, jak to miałoby się wiązać z Meilyn albo Tamrą.

Kowal? Siuan, oszalejemy, jeśli będziemy podejrzewały wszędzie obecność Czarnych sióstr.

– Ale jeśli uznamy, że ich tutaj nie ma, stracimy życie – odparowała Siuan. – Cóż, może potrafimy być jak srebrawy w sieci, zamiast zachowywać się niczym chrząkacze. Tylko musimy pamiętać, że srebrawy lądują w końcy na targu rybnym. Coś ci chodzi po głowie w związku z lady Ines?

Moiraine powiedziała jej. Siuan bynajmniej nie spodobał się pomysł i tym razem przekonywanie jej zabrało większą część nocy. Po prawdzie Moiraine pragnęła niemalże, by przyjaciółka przekonała ją do spróbowania czegoś innego. Ale lady Ines widziała świt nad Górą Smoka. Dobrze przynajmniej, że Aes Sedai, doradczyni Ethenielle, przebywała z nią na południu.

Poranek przyniósł prawdziwy wir zajęć, niewiele jednak było z nich satysfakcji. Moiraine dostała, czego chciała, przedtem jednak musiała wiele razy gryźć się w język. A Siuan znowu zaczęła protestować, wysuwać argumenty, które Moiraine odparła poprzedniej nocy. Siuan nie lubiła, gdy komuś udawało się ją przekonać, że pogląd, który uważała za słuszny, nie ma podstaw. Nie lubiła, gdy Moiraine brała na siebie całe ryzyko. Niedźwiedź z bolącym zębem byłby lepszym towarzyszem. Nawet ten mężczyzna, Lan!

Jeszcze przed świtem zaszły do kantoru po złoto. Kobieta o surowym spojrzeniu użyła lupy, by się dokładnie przyjrzeć pieczęci cairhieńskiego bankiera u dołu listu zastawnego, który przedstawiła jej Moiraine. Lupa! Na szczęście po kąpieli w stawie atrament rozmazał się tylko trochę. Pani Noallin nawet nie kryła zaskoczenia, gdy obie zaczęły chować sakiewki ze złotem pod poły płaszczy.

Na zewnątrz Siuan wymamrotała, że tamten kowal, mimo swego zawodu, musiał

ledwie iść, obładowany niczym muł sakwami ze srebrem. I któż mógł skrócić mu kark w ten sposób? Niezależnie od powodu, musiały to być Czarne Ajah. Władczko wyglądająca kobieta z grzebieniami z kości słoniowej we włosach usłyszała dość, by aż się wzdrygnąć. Podciągnęła spódnicę nad kolana i pobiegła, zostawiając za sobą zdumionych służących, którzy musieli przepychać się za nią przez tłum. Siuan zarumieniła się, ale wciąż za nic nie chciała okazać skruchy.

Szczupła szwaczka o hardym obejściu poinformowała Moiraine, że to, czego sobie zażyczyła, nie nastarczy najmniejszych trudności.

Stroje będą gotowe na koniec miesiąca, być może. Wiele dam zamówiło sobie nowe suknie. W Pałacu Aesdaishar bawił z wizytą król. Król Malkier!

– Ostatni Król Malkier zmarł dwadzieścia pięć lat temu, pani Dorelmin – oznajmiła Moiraine, odliczając na kontuarze trzydzieści złotych koron. Silene Dorelmin z chciwością wpatrzyła się w grube monety, a jej oczy rozbłysły niemałą zgodą, kiedy usłyszała, że dostanie jeszcze raz tyle, gdy sukienki będą uszyte. – Ale odejmę po sześć koron za każdy dzień zwłoki – zastrzegła Moiraine. Nagle okazało się, że mimo wszystko sukienki da się skończyć szybciej niż przed upływem miesiąca. Znacznie szybciej.

– Widziałas, co ta chuda dziwka miała na sobie? – zapytała Siuan, gdy tylko wyszły. – Powinnaś kazać jej tak właśnie skroić nasze suknie, by wyglądały, jakby w każdej chwili można je było zrzucić. Niech mężczyźni mają trochę przyjemności, patrząc na ciebie, kiedy już położysz swój głupi łeb na katowskim pieńku.

Moiraine wykonała ćwiczenie zalecane nowicjuszkom, wyobrażając sobie pączek róży otwierający się ku słońcu. Jak zawsze ćwiczenie przyniosło jej spokój. Wyszczubiłaby sobie zęby, gdyby nie przestała nimi zgrzytać.

– Nie ma innego sposobu, Siuan. Sądzisz, że karczmarz wynajmie nam jednego ze swoich siłaczy? – Król Malkier? Światłości!

Ta kobieta musiała ją uważać za kompletną idiotkę!

W południe drugiego dnia po tym, jak Moiraine przyjechała do Chachin, pod Pałac Aesdaishar zajechał lakierowany na żółto powóz, powożony przez mężczyznę zbudowanego niczym byk, za powozem szły luzem dwie klacze, jedna gniada o pięknym karku, druga siwa, smukłej budowy. Lady Moiraine Damodred, w ciemnoniebieskiej sukni z kolorowymi rozcięciami od wysokiego karczku aż po kolana, została przyjęta ze wszelkimi należnymi jej honorami. Imię Domu Damodred było znane, nawet jeśli nikt nie słyszał o lady Moraine, a wraz ze śmiercią Króla Łamana właściwie każdy z Damodredów mógł zasiąść na Tronie Słońca. Oczywiście, jeśli nie zagarnie go inny Dom. Przyznano jej stosowne do pozycji apartamenty, trzy pokoje od północy, z których miała widok, ponad miastem, na pokryte śniegiem szczyty, wyższe jeszcze od góry, na której wznosił się Pałac. Opuściwszy wzrok,

zauważyła przydzielonych jej służących, którzy uwijali się, rozpakowując okute mosiądzem skrzynie damy i przygotowując gorącą perfumowaną wodę, by dama mogła się umyć. Żaden ze służących, oprócz jednego, nawet nie spojrział na Suki, pokojówkę damy.

– W porządku – mruknęła Siuan, kiedy służący w końcu zostawili je same w salonie – przyznaję, że w tym stroju jestem niewidzialna. – Miała na sobie szarą suknię z dobrej wełny, o skrajnie prostym kroju, wyjąwszy kołnierz i rękawy ozdobione barwami Domu Damodred. – Ty natomiast wyglądasz jak Wysoki Lord za wiosłem sterowym. Światłości,omalże nie połknęłam języka, kiedy zapytałaś, czy w Pałacu nie ma jakichś sióstr. Jestem tak zdenerwowana, że zaczyna mi się od tego kręcić w głowie. Nie mogę złapać tchu.

– To kwestia wysokości – uspokoiła ją Moiraine. – Przywykniesz. Każdy gość mógł zapytać o Aes Sedai, sama widziałaś, że służący nawet nie mrugnęli. – Ona jednak również wstrzymywała oddech, póki nie uzyskała odpowiedzi. Obecność jednej choćby siostry mogła wszystko zmienić. – Nie mam pojęcia, dlaczego wciąż muszę ci to powtarzać. Pałac królewski to nie karczma. Nikomu tutaj nie wystarczy, jeśli oznajmię: „Możecie mówić do mnie lady Alys”. To jest kwestia faktu, a nie mniemania. Muszę być sobą. – Trzy Przysięgi pozwalały na mówienie wszystkiego, co subiektywnie uważało się za prawdę, nawet jeśli nie potrafiło się tego dowieść, podobnie zresztą jak pozwalały na odpowiedzi wymijające. Jedynie te słowa, co do których miało się pewność, że stanowią jawne kłamstwo, nie mogły zagościć na ustach. – Może skorzystasz ze swojej niewidzialności, aby sprawdzić, czego się możesz dowiedzieć o lady Ines? Będę zadowolona, gdy wyjedziemy stąd najszybciej, jak to tylko możliwe.

Niemniej nie da się tego zrobić wcześniej niż jutro rano, nie obrażając gospodarzy i nie wywołując gadania. Siuan miała rację. Wszystkie oczy w pałacu będą się bacznie przypatrywać obcej szlachciance, której Dom wywołał Wojnę o Aiel. Każda Aes Sedai, która przybędzie do Aesdaishar, natychmiast o niej usłyszy, a każda Aes Sedai, która przejeżdżała przez Chachin, może tu przybyć. Siuan miała rację: teraz stała jakby na jakimś podwyższeniu, niczym cel, nie mając choćby śladu wskazówki, kto może być łucznikiem. Jutro, wcześniej rano.

Siuan wyślizgnęła się z komnaty, ale wróciła szybko, niosąc złe wieści. Lady Ines trwała w odosobnieniu, odprowadzając żałobę po mężu.

– Dziesięć dni temu przy śniadaniu padł martwy, głową prosto w stojącą przed nim owsiankę – doniosła Siuan, osuwając się na jeden z foteli w salonie i przerzucając ramię przez oparcie. Lekcje właściwego zachowania jakoś poszły w niepamięć, odkąd mogła włożyć szal. – Był znacznie od niej starszy, wygląda jednak na to, że bardzo go kochała. Ulokowano ją w dziesięciu pokojach z ogrodem,

w południowym skrzydle Pałacu, jej mąż był bliskim przyjacielem Księcia Brysa. Ines pozostanie w odosobnieniu przez pełen miesiąc, nie widując nikogo prócz swej rodziny. Jej służba wychodzi na zewnątrz tylko wówczas, gdy to absolutnie konieczne.

– Zobacz się z Aes Sedai – westchnęła Moiraine. Nawet kobieta w żałobie nie odmówi spotkania z siostrą.

Siuan skoczyła na równe nogi.

– Oszalałaś? Lady Moiraine Damodred już ściąga na siebie zbyt wiele uwagi. Moiraine Damodred Aes Sedai równie dobrze mogłaby od razu rozesłać gońców na wszystkie strony świata! Sądziłam, że pomysł polega na tym, by odjechać, zanim ktokolwiek poza Pałacem odkryje, że w nim jesteśmy!

W tej samej chwili weszła jedna ze służących, aby zaanonsować *shatayan*, która przysła eskortować Moiraine do Księcia Brysa. Najwyraźniej była bardzo zaskoczona, gdy zobaczyła, że Suki stoi nad swą panią i celuje w nią wyciągniętym palcem.

– Powiedz *shatayan*, że zaraz do niej wyjdę – oznajmiła spokojnie Moiraine i zaraz po tym, jak kobieta, z wyrazem zaskoczenia wciąż obecnym na twarzy, ukloniła się i wyszła, wstała, by wyrównać swe szanse w pojedynku słownym z przyjaciółką, chociaż Siuan niełatwo było stawić czoło, nawet jeśli się miało po swej stronie wszelką możliwą przewagę. – Co więc proponujesz? Pozostanie tutaj przez dwa tygodnie w oczekiwaniu, aż się pokaże, byłoby równie złe, a ty nie możesz się zaprzyjaźnić z jej służącymi, ponieważ zamknęły się wraz z nią.

– Mogą sobie wychodzić tylko na posyłki, Moiraine, ale sądzę, że potrafię jakoś sprawić, by mnie tam zaproszono.

Moiraine już otworzyła usta, by powiedzieć, że może to zabrać równie dużo czasu jak rozwiązanie sugerowane przez nią, jednak Siuan schwyciła ją mocno za ramiona i obróciła dookoła, przyglądając się krytycznie.

– Pokojówka powinna się upewnić, że jej pani jest stosownie ubrana – oznajmiła i popchnęła Moiraine ku drzwiom. – Idź. *Shatayan* czeka na ciebie. A przy odrobinie szczęścia młody foryś o imieniu Cal czeka na Suki.

Shalayan rzeczywiście czekała: wysoka, przystojna kobieta, otulona niczym grubym płaszczem atmosferą godności własnej i nieco rozeźlona, że przyjęto ją w taki sposób. Migdałowe oczy mogłyby chłodzić wino. Każda królowa, która niewłaściwie potraktowała *shalayan*, dałaby dowód głupoty, toteż Moiraine próbowała ją udobruchać, kiedy wędrowały po korytarzach. W pewnym momencie doszła nawet do wniosku, że zrobiła pewne postępy, jeśli chodzi o stopień lodu tamtej, jednak trudno jej było naprawdę skoncentrować się na zadaniu. Młody foryś? Nie miała pojęcia, czy Siuan kiedykolwiek była z mężczyzną, z pewnością jednak nie zrobi tego tylko po to,

by dotrzeć do służących Ines! No i nie z forysiem!

Ściany korytarzy zdobiły posągi i draperie, przy czym to, co przedstawiały, stanowiło prawdziwe zaskoczenie, biorąc pod uwagę wiedzę, jaką wpojono jej na temat Ziemi Granicznych. Marmurowe rzeźby kobiet z kwiatami i bawiących się dzieci, jedwabne sploty układające się w kwietne pola oraz postaci szlachty w ogrodach i tylko kilka scen myśliwskich, bez choćby jednej batalistycznej. Łukowe okna na korytarzach wychodziły na znacznie większą liczbę ogrodów, niż się spodziewała, oraz na kwadratowe dziedzińce, niekiedy ozdobione marmurowymi fontannami rozpryskującymi wodę. Na jednym z nich zobaczyła coś, co natychmiast przegnało jej z głowy wszelkie myśli o Suan i forysiu.

Był to prosty dziedziniec, bez fontanny lub choćby krużganka, stali na nim rzędami pod ścianami ludzie i przyglądali się dwóm obnażonym do pasa mężczyznom walczącym na drewniane miecze ćwiczebne. Ryne i Bukama. To była prawdziwa walka, nawet jeśli tylko w ramach ćwiczeń, miecze uderzały w ciała z odgłosami tak donośnymi, że nawet ona je słyszała. Bukama zbierał baty. Powinna ich unikać, a także Lana, jeśli on również znajdował się w pałacu. Nieszczególnie zadbał o to, by skryć swe wątpliwości, mógł zacząć zadawać jej pytania, na które nie odważyłaby się odpowiedzieć. Czy jej prawdziwe imię to Moiraine, czy Alys? Lub gorzej: czy jest prawdziwą Ees Sedai, czy dzikuską udającą siostrę? Niewykluczone, że wszystkie te pytania już jutrzejszej nocy przybrałyby formę plotki ulicznej, którą będzie mogła usłyszeć każda siostra, a ta ostatnia pogłoska z pewnością stałaby się przedmiotem dochodzenia. Na szczęście tych trzech żołnierzy z pewnością nie uzyska dostępu do miejsca, w którym jej wolno przebywać.

Książę Brys, mocno zbudowany zielonooki mężczyzna, udzielił jej prywatnej audiencji w wielkiej komnacie o ścianach wykładanych czerwienią i złotem. W spotkaniu uczestniczyły również dwie zameżne siostry Księcia w towarzystwie swoich mężów, oraz jedna z sióstr Ethenielle z małżonkiem; mężczyźni odziani byli w stonowane jedwabie, kobiety w suknie o jaskrawych barwach ściągnięte tuż pod biustem szerokimi pasami. Służący w liberiach roznosili słodycze i orzechy. Moiraine przyszło na myśl, że od zadzierania głowy może dostać skurczu mięśni karku – najniższa z obecnych kobiet była wyższa od Suan, wszyscy trzymali się wyprostowani niczym struna. Ich karki – zarówno męskie, jak i kobiece – z pewnością ugięłyby się nieco na widok siostry, jednak lady Moiraine uważali za równą sobie.

Poruszane w rozmowie tematy sięgały od muzyki oraz najlepszych jej wykonawców wśród szlachty przebywającej na dworze do trudów przebytej podróży, od kwestii, czy plotki o mężczyźnie potrafiącym przenosić są prawdziwe, do pytania, skąd nagle w okolicy znalazło się tak wiele Aes Sedai. Moiraine przekonała się, że nie potrafi o tym rozmawiać swobodnie i dowcipnie, jak tego od niej oczekiwano.

Niewiele dbała o muzykę oraz o to, kto gra na jakim instrumencie: w Cairhien muzyków się wynajmowało, a potem natychmiast o nich zapominało. Wszyscy musieli wiedzieć, że podróż jest niezwykle męcząca, skoro nie ma pewności, że pod koniec dnia, po przebyciu dwudziestu lub trzydziestu mil, uda się znaleźć łóżko na noc i że jest tak nawet wówczas, gdy pogoda sprzyja. To oczywiste, że niektóre z sióstr pojawiły się w tej okolicy ze względu na plotki o tym mężczyźnie, inne zaś po to, by zacieśnić więzi, które mogły się rozluźnić podczas Wojen o Aiel, zadbać, by trony i Domy pojęły, że wciąż oczekuje się od nich respektowania zobowiązań względem Wieży, zarówno publicznych, jak i prywatnych. Jeżeli nawet żadna Aes Sedai nie przybyła jeszcze do Aesdaishar, to wkrótce tak się stanie – uświadomienie sobie tego przysporzyło jej kolejnego powodu, dla którego z jeszcze większym trudem znosiła te głupie pogawędki. Oraz wywołaną tym przypomnieniem myśl o innych powodach obecności sióstr w kraju. Mężczyźni znosili jej brak towarzyskości z kamiennymi twarzami, podejrzewała jednak, że kobietom wydaje się szczególnie tępa.

Kiedy wprowadzono dzieci Brysa, Moiraine poczuła głęboką ulgę. Skoro przedstawił jej dzieci, oznaczało to, że ją akceptuje na swoim dworze, ale co ważniejsze, stanowiło to sygnał końca audiencji. Najstarszy syn, Antol, był na południu wraz z Ethenielle w charakterze jej dziedzica, toteż śliczna, zielonooka Jareme, dwunastoletnia, przewodziła swej siostrze i czterem braciom, oficjalnie uszeregowanym według wieku, chociaż po prawdzie dwaj najmłodsi chłopcy wciąż jeszcze byli w powijkach i niosły ich niańki. Moiraine stłumiła przemożną chęć, by się dowiedzieć, co odkryła Siuan, i stosownie skomplementowała zachowanie dzieci, zachęcając je do postępów w nauce. Musiały ją uznać za równie nudną jak przedtem dorośli. Co w niewiele większym stopniu ją obeszło.

– A jak zdobyłeś te blizny, lordzie Diryku? – zapytała. Ledwie słuchała ponurej opowieści chłopca o jego upadku, dopóki nie...

– Mój ojciec mówi, że chyba udzieliło mi się szczęście Lana, iż nie zginąłem, moja pani – powiedział Diryk i oczy aż mu się zaświeciły, choć ani głos, ani postawa w niczym nie uchybiały etykietce. – Lan jest Królem Malkier i ma ze wszystkich ludzi na świecie największe szczęście, jest też najlepszym szermierzem. Wyjąwszy oczywiście mego ojca.

– Królem Malkier? – zapytała Moiraine, mrugając.

Diryk żywo skinął głową i zaczął obszernie opowiadać o wyprawach Lana na Ugór oraz o Malkieri, którzy przybyli do Aesdaishar, by służyć u niego, póki ojciec gestem nie nakazał mu milczenia.

– Lan jest królem wtedy tylko, gdy sobie tego zażyczy, moja pani – powiedział Brys. Bardzo dziwna wypowiedź, a jego osobliwy ton czynił ją jeszcze dziwniejszą. –

Przez większość czasu nie opuszcza swoich pokoi – to również jakby wprawiało Brysa w konfuzję – ale spotkasz się z nim, zanim... moja pani, dobrze się czujesz?

– Nie bardzo – odparła. Miała nadzieję na następne spotkanie z Łanem Mandragoranem, nawet je sobie zaplanowała, ale przecież nie tutaj! Jej żołądek skręcał się w ciasny supeł. – Ja również wolałabym przez kilka dni zostać w swoich pokojach, jeśli mi wybaczysz, panie.

Oczywiście, co miał zrobić, wszyscy pozostali również bardzo żalowali, że nie będą mogli się cieszyć jej towarzystwem, wyrażali współczucie, że trudy podróży tak mocno musiały dać się jej we znaki. Chociaż usłyszała, jak jedna z kobiet szepce do drugiej coś o wydelikacowanych południowcach.

Młoda kobieta o bardzo jasnych włosach, odziana w zielenie i czerwienie, czekała, by wskazać Moiraine drogę do jej pokoi. Elis kłaniała się za każdym razem, gdy wypowiedziała choć słowo, co oznaczało, że z początku kłaniała się szczególnie często. Poinformowano ją już o „zasłabnięciu” Moiraine, toteż co dwadzieścia kroków pytała, czy dama nie życzy sobie usiąść i złapać tchu albo czy nie chciałaby, aby do jej pokoi przyniesiono wilgotny ręcznik i cegły dla rozgrzania stóp, ewentualnie sole trzeźwiące czy kilkanaście innych tego rodzaju leków na „rozjaśnienie myśli”, póki wreszcie Moiraine grzecznie nie kazała jej być cicho. Głupia dziewczyna prowadziła ją odtąd w całkowitym milczeniu, z twarzą pozbawioną wyrazu.

Moiraine nie dbała o to, czy tamta się obraziła. Teraz chciała tylko usłyszeć, że Siuan przyniosła dobre wieści. Najlepiej, żeby w ramionach trzymała chłopca urodzonego na Górze Smoka, a jego matka siedziała już w powozie. Przede wszystkim jednak pragnęła się schronić w swoich komnatach, by nie natknąć się na Lana Mandragorana.

Wciąż bojąc się ewentualnego spotkania, za zakrętem korytarza stanęła oko w oko z Merean, w szalu obrzeżonym niebieskimi frędzlami. Prowadziła ją sama *shatayan*, a za plecami siostry szła cała procesja służących. Jedna kobieta niosła jej czerwone rękawice do konnej jazdy, inna podbity futrem płaszcz, trzecia ciemny aksamitny kapelusz. Po dwóch mężczyzn dźwigało wiklinowe kufry, z którymi poradziłby sobie jeden człowiek, inni nieśli naręcza kwiatów. Aes Sedai przyjmowano z większymi honorami niż zwykłą damę, niezależnie od tego, z jakiego by pochodziła Domu.

Oczy Merean zwięzły się, gdy dostrzegła Moiraine.

– To doprawdy niespodzianka spotkać cię tutaj – powiedziała powoli. – Sądząc po twojej sukni, zrezygnowałaś z przebrania? Ale nie. Wciąż nie masz pierścienia, jak widzę.

Moiraine była tak zaskoczona nagłym pojawieniem się Merean, że ledwie

słyszała, co ona mówi.

– Jesteś sama? – zapytała bez namysłu.

Na krótką chwilę oczy Merean zmieniły się w wąskie szparki.

– Larelle postanowiła pojechać swoją drogą. Na południe, jak mi się zdaje.

Więcej nie wiem.

– Myślałam raczej o Cadsuane – wyjaśniła Moiraine, mrugając z zaskoczenia. Im więcej myślała o Cadsuane, tym bardziej była przekonana, że musi być Czarną Ajah. Zaskoczyła ją natomiast Larelle. Larelle z pozoru bardzo chciała dotrzeć do Chachin, i to bez zwłoki. Plany oczywiście można zmieniać, Moiraine jednakże nagle zdała sobie sprawę z czegoś, co powinno być dla niej oczywiste od początku. Czarne siostry mogły kłamać. To nie do pomyślenia, Przysięg nie da się złamać... jednak tak właśnie musiało być.

Merean podeszła bliżej, a kiedy Moiraine cofnęła się o krok, ruszyła za nią. Moiraine wyprostowała się najbardziej, jak tylko mogła, wciąż jednak nie sięgała jej wyżej niż do podbródka.

– Tak bardzo chciałabyś się spotkać z Cadsuane? – zapytała Merean, spoglądając na nią z góry. Ton jej głosu był miły, gładka twarz spokojna, w oczach jednak lśniło zimne żelazo. Nagle spojrzała na otaczających je służących, zrozumiała, że nie są same. Stalowe spojrzenie złagodniało, ale nie całkiem. – Z pewnością rozumiesz, że Cadsuane miała rację. Młoda kobieta, której się wydaje, że jest mądrzejsza niż w rzeczywistości, może się wpakować w poważne tarapaty.

Proponuję, abyś zachowywała się bardzo spokojnie i bardzo cicho, zanim nie będziemy mogli porozmawiać. – Rozkazującym gestem dała znak *shatayan*, że mają już ruszać w drogę, i pełna godności kobieta aż podskoczyła, chętna usłuchać. W nieładkę *shatayan* mogli popaść król lub królowa, ale przenigdy Aes Sedai.

Moiraine patrzyła na Merean, póki tamta nie zniknęła w oddali za rogiem korytarza. Wszystko, co Merean właśnie powiedziała, mogło pochodzić od jednej z wybranych przez Tamrę. Czarne siostry potrafią kłamać. Czy Larelle zmieniła swoją decyzję odnośnie do Chachin? Czy też leżała gdzieś martwa, jak Tamra i pozostałe? Nagle Moiraine przyłapała się na tym, że wygląda suknie. Opanowanie dłoni było sprawą prostą, nie potrafiła jednak pohamować leciutkiego drżenia, które czuła na całym ciele.

Elis patrzyła na nią, rozdziawiwszy usta ze zdumienia.

– Ty również jesteś Aes Sedai! – pisnęła, a potem aż podskoczyła, mylnie biorąc mrugnięcie Moiraine za grymas dezaprobaty. – Nikomu nie powiem ani słowa, Aes Sedai – wyszeptła bez tchu. – Przysięgam, na Światłość i grób mego ojca! – Jakby cały orszak zdążający za Merean nie słyszał tego co ona. Z pewnością nie pohamują języków.

– Zabierz mnie do apartamentów Lana Mandragorana – nakazała jej Moiraine. Co było prawdą o świecie, południem mogło zmienić się w fałsz, podobnie bywało z tym, co konieczne. Wyjęła z sakwy swój pierścień z Wielkim Wężem i nałożyła na palec prawej dłoni. Czasami nie można sprostać warunkom rozgrywki.

Po dłuższej wędrówce, przebiegającej zasadniczo w litościwym milczeniu, Elis zastukała do czerwonych drzwi i oznajmiła siwowłosej kobiecie, która jej otworzyła, że lady Moiraine Damodred Aes Sedai pragnie widzieć się z królem al’Lanem Mandragoranem. Moiraine obruszyła się na jej słowa. Król, dobre sobie! Ku swojemu całkowitemu zaskoczeniu otrzymała odpowiedź, że lord Mandragoran nie życzy sobie rozmawiać z żadną Aes Sedai. Siwowłosa kobieta, której zastygł na twarzy wyraz całkowitego zgorznienia, nieustępliwie zamknęła drzwi.

Elis spoglądała na Moiraine szeroko rozwartymi oczyma.

– Pokażę mojej pani Aes Sedai drogę do jej apartamentów – zaczęła niepewnie - jeśli... – Pisnęła, kiedy Moiraine otworzyła drzwi i weszła do środka.

Siwowłosa służąca i druga, młodsza, zajęte cerowaniem koszul, aż podskoczyły. Kościsty młodzieniec siedzący przy kominku niezgrabnie podniósł się na nogi, zerkając na kobiety zmieszonym wzrokiem. One zaś tylko patrzyły na Moiraine, póki nie uniosła pytająco brwi. Wtedy siwowłosa wskazała na jedne z dwójga drzwi wiodących w głąb apartamentów.

Drzwi te prowadziły do salonu bardzo przypominającego przydzielony Moiraine, w tym jednak wszystkie fotele zostały ustawione pod ścianami, dywany zaś zrolowane. Lan, bez koszuli, ćwiczył formy miecza na wolnej przestrzeni. Na jego szyi tańczył niewielki złoty medalion, ostrze miecza tworzyło mgłę metalicznego lśnienia. Pokrywał go pot i więcej blizn, niżli mogła się spodziewać u tak młodego mężczyzny. Nie wspominając już o licznych na poły zagojonych ranach, poznaczonych ciemnymi szwami. Pełnym wdzięku ruchem wyszedł z kolejnej formy i stanął twarzą w twarz z Moiraine, sztych kierując ku płytkom posadzki. Wciąż nie całkiem potrafił spojrzeć jej w oczy, uciekał spojrzeniem w ten osobliwy sposób właściwy również Bukamie. Jego włosy były zupełnie mokre i lepiły się do twarzy mimo wiążącego je skórzanego rzemienia, jednak piersi nie podnosił przyspieszony oddech.

– To ty – warknął. – A więc dzisiaj jesteś i Aes Sedai, i Damodred.

Nie mam czasu na twoje gierki, Cairhienianko. Oczekuję kogoś. – Spojrzenie chłodnych błękitnych oczu pomknęło ku drzwiom za jej plecami. Po wewnętrznej stronie gardy miecza dostrzegła osobliwą rzecz, coś, co wyglądało na kosmyk włosów splecionych w wypracowany węzeł. – Ona nie będzie zadowolona, jeśli zastanie tu inną kobietę.

– Dama twojego serca nie musi się mnie obawiać – oznajmiła sucho Moiraine. –

Po pierwsze, jesteś dla mnie zbyt wysoki, a po drugie, wolę mężczyzn, którzy mają choć odrobinę wdzięku. I stosowne maniery. Przyszłam do ciebie po pomoc. Istnieje przysięga, obowiązująca od czasu Wojny Stu Lat, w myśl której Malkier wyruszy na wezwanie Białej Wieży. Ja jestem Aes Sedai i ja cię wzywam!

– Wiesz, że wzgórza są wysokie, ale nie wiesz, jak daleko się ciągną – mruknął, jakby cytując jakieś malkierskie powiedzenie. Przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, porwał pochwę i gwałtownym ruchem wsunął do niej miecz. – Możesz liczyć na moją pomoc, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie. Przez wiele lat pytałem o to rozmaite Aes Sedai, ale one wykręcały się od odpowiedzi niczym węże. Jeśli jesteś Aes Sedai, odpowiedz mi.

– Jeżeli będę znała odpowiedź, odpowiem ci. – Zamiast po raz kolejny zapewniać go, że naprawdę jest tą, za którą się podaje, objęła tylko *saidara* i przesunęła jeden ze złoconych foteli na środek komnaty. Nawet nie ruszyłaby go z miejsca, gdyby musiała polegać wyłącznie na swej sile fizycznej, jednak na splotach powierza sunął z łatwością, mógłby być nawet dwukrotnie cięższy. Usiadła i oparła dłonie na skrzyżowanych kolanach w taki sposób, aby wyraźnie było widać złotego węża. Wyższa osoba ma przewagę nad rozmówcą, kiedy oboje stoją, jednak ktoś stojący przed kimś, kto siedzi, z pewnością musi się czuć niczym podsądny, szczególnie jeśli siedzącym jest Aes Sedai.

Na nim jednak najwyraźniej to położenie nie wywierało stosownego wrażenia. Po raz pierwszy, odkąd go spotkała, spojrzał jej prosto w oczy, a jego spojrzenie było niczym błękitny lód.

– Kiedy umarła Malkier – oznajmił głosem dźwięczącym jak delikatnie trącona stal – Shienar i Arafel wysłały swoich ludzi. Nie mogli liczyć na to, że powstrzymają zalew trolloków i Myrddraali, a jednak przybyli... z Kandoru, nawet z Saldaei. Za późno, jednak przybyli. – Błękitny lód w jego oczach zamienił się w błękitny ogień. Mówił tym samym tonem, jednak palce ściskające rękojeść miecza pobieły. – Przez dziewięć stuleci przybywaliśmy na wezwanie Białej Wieży, ale gdzie była Biała Wieża, kiedy ginęła Malkier? Jeżeli jesteś Aes Sedai, odpowiedz mi na to pytanie!

Moiraine zawahała się. Odpowiedź, której się domagał, obłożona była Pieczęcią Wieży, nauczano o niej Przyjęte na lekcjach historii, zakazywano jednak dzielenia się nią z innymi, wyjąwszy inicjowane Wieży. Ale czym była dowolna nawet pokuta za złamanie zakazu wobec tego, z czym musiała się zmierzyć?

– Do Malkier odkomenderowano przeszło sto siostr – powiedziała znacznie bardziej spokojnie, niż wydawało się możliwe, biorąc pod uwagę jej uczucia. Wedle wszystkiego, czego ją nauczono, sama powinna była zażądać wymierzenia sobie pokuty za to, co już mu powiedziała. – Jednak nawet Aes Sedai nie potrafią latać. Przybyły zbyt późno. – Gdy pierwsza z nich pojawiła się na polu bitwy, armie Malkier

zostały już zmiażdżone przez niezliczone rzesze Pomiotu Cienia, ludzie uciekli bądź leżeli martwi. Zagłada Malkier była bezwzględna, krwawa i szybka. – Stało się to jeszcze przed moimi narodzinami, ale nie potrafię wyrazić, jak mi przykro. Żałuję też, że Wieża postanowiła utrzymać swoje wysiłki w tajemnicy. – Lepiej, aby sądzono, że Wieża nie zrobiła nic, niż aby się rozeszło, że próbowała i zawiodła. Porażka oznaczała cios dla wizerunku, tajemnica natomiast była potrzebną Wieży zbroją. Aes Sedai zawsze miały powody, by coś robić lub czegoś nie robić, lecz znane one były wyłącznie im. – To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Więcej, niż powinnam, więcej, niż zdołasz wydobyć od każdej innej siostry, jak mniemam.

Czy to wystarczy?

Spojrzał na nią, ogień w jego oczach powoli zamieniał się znowu w lód. Potem umknął spojrzeniem.

– Niemalże mogę w to uwierzyć – wymruczał na koniec, nie mówiąc w co. Potem zaśmiał się gorzko. – Jak mam ci pomóc?

Moiraine zmarszczyła brwi. Naprawdę bardzo by się przydało spędzić z tym mężczyzną trochę czasu sam na sam, aby mu pokazać, gdzie jego miejsce, jednak to mogło poczekać.

– W Pałacu przebywa również inna siostra, Merean Redhill. Chcę wiedzieć, dokąd chadza, co robi, z kim się spotyka.

Zamrugnął oczami, ale nie zadał oczywistego pytania. Być może wiedział, że nie uzyska żadnych odpowiedzi, a jednak jego milczenie sprawiło jej ulgę.

– Przez ostatnich kilka dni nie opuszczałem moich pokoi – powiedział, znowu patrząc na drzwi. – Nie bardzo wiem, jak miałbym ją śledzić.

Nie potrafiła powstrzymać parsknięcia. Ten mężczyzna obiecał jej pomoc, a potem natychmiast zaczął się przejmować swoją damą. Być może wcale nie był tym, za kogo go wzięła. Ale nikogo innego nie miała.

– Nie ty – powiedziała. Wizyta w jego apartamentach wkrótce stanie się tajemnicą całego Aesdaishar, jeśli już tak nie było, a gdyby ponadto został przyłapany na szpiegowaniu Merean... To mogło się okazać całkowitą katastrofą, nawet jeśli tamta była niewinna jak niemowlę. – Sadziłam, że możesz poprosić jednego z Malkieri, którzy, jak zrozumiałam, zbierają się tu pod twoim sztandarem. Kogoś o bystrym oku i ustach zamkniętych na kłódkę. Trzeba tego wszystkiego dokonać w najściślejszym sekrecie.

– Nikt tu nie zbiera się pod moim sztandarem – zaprotestował ostro. Raz jeszcze spojrzał na drzwi, nagle zaczął sprawiać wrażenie zmęczonego. Nie zgarbił się, ale podszedł do kominka i położył obok niego swój miecz, troskliwie i uważnie niczym starzec. Wciąż odwrócony do niej plecami, powiedział: – Poproszę Bukamę i Ryne'a, żeby mieli na nią oko, ale nie mogę nic obiecać w ich imieniu. To wszystko, co mogę

dla ciebie zrobić.

Udało jej się nie parsknąć z irytacji. Niezależnie od tego, czy naprawdę było to wszystko, co mógł zrobić, nie miała żadnego instrumentu nacisku.

– Bukama – powiedziała. – Tylko on. – Sądząc po tym, jak zachowywał się względem niej, Ryne będzie zbyt zajęty przyglądaniem się Merean, żeby cokolwiek widzieć bądź słyszeć. Jeśli od razu wszystkiego nie wyzna, gdy tamta tylko na niego spojrzy. – I nie mów mu dlaczego.

Już chciał przecząco pokręcić głową, jednak po chwili przytaknął. I znowu nie zadał pytania, które z pewnością zadałaby większość ludzi. Informując go, że ma jej przekazywać wiadomości przez jej pokojówkę Suki, miała nadzieję, że nie popełni niewybaczalnego błędu.

Po powrocie do swych komnat przekonała się, jak szybko rozchodzą się wiadomości. W salonie Siuan właśnie częstowała słodkościami odzianą w bladezielone jedwabie wysoką młodą kobietę o pełnych ustach, która dopiero niedawno wyszła z wieku dziewczęcego. Czarne włosy spływały jej dobrze poniżej bioder, a niewielka błękitna kropka widniała na czole w tym samym miejscu, gdzie u Moiraine wisiała kesiera. Twarz Siuan była zupełnie bez wyrazu, jednak w głosie znać było napięcie, kiedy przedstawiała gościa. Lady Iselle szybko rozwiała wszelkie wątpliwości co do przyczyn takiego stanu Siuan.

– Wszyscy w Pałacu mówią, że jesteś Aes Sedai – oznajmiła, mierząc Moiraine powątpiewającym spojrzeniem. Nie podniosła się, nie ukloniła, nawet nieznacznie nie pochyliła głowy. – Jeśli to prawda, potrzebuję twojej pomocy. Chcę udać się do Białej Wieży. Moja Matka natomiast życzy sobie, żebym wyszła za mąż. Nie mam nic przeciwko Lanowi jako mojemu *carneira*, nawet jeśli Matka stała się tym dla niego, kiedy jednak wyjdę za mąż, sądzę, że to będzie jeden z moich Strażników. Zostanę Zieloną Ajah. – Nieznacznie zmarszczyła brwi, spoglądając na Siuan. – Nie kręć się tak, dziewczyno. Stań sobie z boku i zaczekaj, aż będziesz potrzebna. – Siuan podeszła sztywno do kominka, ręce założyła na piersiach. Żadna prawdziwa służąca nie stałaby w ten sposób ani nie marszczyłaby tak brwi, jednak Iselle już nie zwracała na nią uwagi. – Proszę usiądź, Moiraine – ciągnęła z uśmiechem lady Iselle – a ja ci powiem, czego chcę od ciebie. Jeśli oczywiście naprawdę jesteś Aes Sedai.

Moiraine patrzyła na nią bez słowa. Poproszono ją o zajęcie krzesła w jej własnym salonie. To głupie dziecko z pewnością doskonale odpowiadałoby Lanowi, jeśli chodzi o rozmiary arogancji. Jej *carneira*? W Dawnej Mowie oznaczało to „pierwszy”, ale tutaj najwyraźniej coś zupełnie innego. Z pewnością nie to, co zdawało się oznaczać z pozorów: ci Malkieri nie mogli być tak dziwacznik! Siadając, powiedziała sucho:

– Z wybieraniem Ajah możesz poczekać przynajmniej do czasu, aż sprawdzę, czy

w ogóle jest sens wysłać cię do Wieży. W ciągu kilku chwil przekonamy się, czy jesteś zdolna nauczyć się przenoszenia, oraz poznamy twoją potencjalną siłę, jeśli...

W tym momencie dziewczyna beztrąsko wtrącała:

– Och, byłam już sprawdzana wiele lat temu. Aes Sedai powiedziała, że mogę być bardzo silna. Powiedziałam jej, że mam piętnaście lat, jednak ona odkryła prawdę. Nie rozumiem, dlaczego nie mogłam się udać do Wieży w wieku lat dwunastu, jeżeli miałam na to ochotę. Matka była wściekła. Zawsze mówiła, że pewnego dnia mam zostać Królową Malkier, ale to oznaczało małżeństwo z Łanem, czego bym nie chciała, nawet gdyby matka nie była jego *carneira*. Kiedy jednak ty jej powiesz, że zabierasz mnie do Wieży, będzie musiała cię posłuchać. Wszyscy wiedzą, że Aes Sedai zabierają do Wieży na nauki wszystkie kobiety, które tylko zechcą, i nikt nie może im się przeciwstawić. – Pełne usta wyduł grymas. – A ty jesteś Aes Sedai, nieprawdaż?

Moiraine wykonała ćwiczenie z pękiem róży.

– Jeżeli chcesz jechać do Tar Valon, droga wolna. Ja z pewnością nie mam czasu cię odwozić. Znajdziesz tam siostry, względem których nie będziesz żywiła żadnych wątpliwości. Suki, możesz odprowadzić lady Iselle do drzwi? Bez wątpienia nie będzie chciała zwlekać, skoro matka może ją w każdej chwili przyłapać.

To impertynenckie dziecko oczywiście natychmiast się obraziło, jednak Moiraine chciała tylko zobaczyć jej plecy, natomiast Suanomalże nie wypchnęła jej na korytarz.

– Ta dziewczyna – oznajmiła Suan, kiedy wróciła, zacierając ręce – nie wytrzyma nawet miesiąca, choćby dorównała siłą Cadsuane. – Wieża zatapiała swe żelazne pazury w każdej kobiecie, która miała choćby najmniejszą szansę zdobycia szala, jednak te, które nie potrafiły bądź nie chciały się uczyć, szybko się przekonywały, że oto już zostały wyrzucone; przenoszenie w istocie stanowiło jedynie część nauk.

– Jeśli o mnie chodzi, to sama Sierin może ją zrzucić ze szczytu Wieży – warknęła Moiraine. – Dowiedziałaś się czegoś?

Wychodziło na to, że Suan dowiedziała się, iż młody foryś umie całować. Mówiąc o tym, nawet się nie zarumieniła, poza tym jednak nie osiągnęła niczego. Dziwne, ale wiadomość o tym, że Moiraine zwróciła się do Lana po pomoc, zdenerwowała ją bardziej niż pojawienie się Merean.

– Obedrzyj mnie ze skóry i posyp solą, Moiraine, a dalej będę uważała, że podejmujesz idiotyczne ryzyko. Mężczyzna, który rości sobie prawo do tronu martwego kraju, jest niczym dziewięciu głupców. Zacznie kłapać jęzorem na twój temat, gdy ktokolwiek tylko zechce nadstawić przekłętą ucha! Jeśli Merean się dowie, że kazałaś ją obserwować... Niech szczeżę!

– Z pewnością jest głupi na wiele sposobów, Suan, ale nie sędzę, by „kłapał ozorem”. Poza tym „nie możesz wygrać, jeśli nie zaryzykujesz choć miedziaka”, jak zawsze powtarzasz, cytując swego ojca. Nie mamy innego wyjścia, musimy zaryzykować. Skoro Merean jest tutaj, to być może zaczyna już nam brakować czasu. Musisz dotrzeć do lady Ines tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Zrobię, co będę mogła – odburknęła Suan i wyszła na korytarz, napinając ramiona, jakby gotowała się do walki. Ale równocześnie wygładzała spódnice, by opinały się bardziej na biodrach.

Kiedy Suan wróciła, dawno już zapadł zmrok. Moiraine, która próbowała czytać przy świetle lampy, odłożyła książkę. Przez ostatnią godzinę wpatrywała się tępo w tę samą stronę. Tym razem Suan przyniosła interesujące wieści, które przekazywała jej, przerzucając suknie i bieliznę uszyte dla nich przez panią Dorelmin.

Po pierwsze, kiedy wracała do apartamentów Moiraine, podszedł do niej „żyłasty stary bocian”, który zapytał, czy to ona jest Suki, po czym powiedział jej, że Merean spędziła niemal cały dzień w towarzystwie Księcia Brysa, a potem wróciła na noc do swoich apartamentów. Więcej mężczyzna nie wiedział. Suan udało się jednak ostrożnie poruszyć kwestię Rahiena w rozmowie z Calem. Forys nie był jeszcze na służbie u lady Ines, kiedy chłopak się urodził, znał jednak datę: był to dzień po tym, jak Aielowie rozpoczęli odwrót spod Tar Valon. Moiraine i Suan spojrzały sobie głęboko w oczy. Dzień po tym, gdy Kitara Moroso wypowiedziała swoją Przepowiednię dotyczącą Smoka Odrodzonego i padła trupem od wysiłku, jaki ją to kosztowało. Świt ponad górami i narodzony w ciągu dziesięciu dni, zanim nagle odwilż stopiła śnieg. Kitara szczególną wagę przykładała do śniegu.

– W każdym razie – ciągnęła Suan, zwijając tobołek z ubrań i pończoch – skłoniłam Cala, by mi uwierzył, że zostałam wyrzucona ze służby od ciebie, ponieważ wylałam ci wino na suknię, on zaś zaproponował mi łóżko u służących lady Ines. Sądzi, że być może znajdzie mi również miejsce u swej pani. – Parsknęła z rozbawieniem, pochwyciła spojrzenie Moiraine i parsknęła ponownie, tym razem ostrzej. – To nie jest jego przeklęte łóżko, Moiraine. A nawet gdyby było, cóż, on ma subtelne maniery i najpiękniejsze piwne oczy, jakie w życiu widziałas. Pewnego dnia z pewnością się przekonasz, że jesteś gotowa, by zrobić coś więcej, niż tylko śnić o jakimś mężczyźnie, a ja mam nadzieję, że będę tam, by móc to zobaczyć!

– Nie gadaj głupstw – skarciła ją Moiraine. Stojące przed nimi zadanie było zbyt ważne, aby tracić czas na myślenie o mężczyznach. Przynajmniej tak, jak myślała Suan. Merean spędziła cały dzień z Brysem? Nie znalazła się nawet w pobliżu lady Ines? Jeśli była jedną z wybranych przez Tamrę albo Czarną Ajah, nie miało to najmniejszego sensu. Nie chciała jednak wierzyć, by Merean nie była jedną lub drugą. Coś jej umknęło i nie potrafiła przestać się tym zamartwiać. To, czego nie wiedziała,

mogło ją zabić. Gorzej – mogło zabić Smoka Odrodzonego, już w kołysce.

Lan przemykał się korytarzami Aesdaishar, wykorzystując wszelkie umiejętności, jakich nabył na Ugorze, by uniknąć spojrzeń ludzi, których mijał po drodze. Obecnie nawet osobiste służące przedkładały rozkazy Edeyn ponad jego życzenia, jakby sądziły, że jest to część jakichś obyczajów Malkier. Sama zresztą mogła tak im właśnie powiedzieć. Oczekiwał niemal, że każdy w Aesdaishar, kto nosi liberię, gotów będzie donieść Edeyn, gdzie może go znaleźć. Sam natomiast nie do końca wiedział, gdzie się obecnie znajduje. Mimo wcześniejszych wizyt w pałacu, bez przewodnika dwakroć się zgubił. Bez miecza czuł się jak ostatni głupiec. Stał jednak na nic się nie przyda w tej bitwie.

Kątem oka pochwycił jakiś ruch, przywarł płasko do ściany za posągami odzianej w obłok kobiety z naręczem kwiatów. W samą porę. Dwie kobiety wyszły zza załomu korytarza przecinającego ten, na którym się znajdował, zatrzymały się na krótką rozmowę. Iselle i ta Aes Sedai, Merean. Trwał nieruchomy niczym posąg, za którym się schował.

Nie lubił takiego czajenia się, jednak kiedy Edeyn rozwiązywała węzeł na jego *daori*, którym więziła go przez dwa dni w zamknięciu, stwierdziła jasno, że wkrótce zamierza zapowiedzieć oficjalnie jego małżeństwo z Iselle. Bukama miał rację. Edeyn wykorzystywała jego *daori* niczym wędzidło, a on nie wierzył, by przestała tylko dlatego, że ożeni się z jej córką. Kiedy staje się wobec przeciwnika, którego nie jest się w stanie pokonać, można tylko uciec, i on właśnie miał taki zamiar.

W odpowiedzi na ostry gest Merean, Iselle skwapliwie skinęła głową i odeszła tam, skąd przyszły. Przez chwilę Merean patrzyła za odchodzącą, jej twarz była zupełnie nieodgadniona w tym wyrazie niewzruszonej pogody typowym dla Aes Sedai. Potem, ku jego zaskoczeniu, podążyła za nią, tym kołyszącym krokiem, który sprawiał, że Iselle wydawała się przy niej niezgrabna.

Lan nie marnował czasu na zastanawianie się, o co chodzi Merean, interesowało go to nie bardziej niż wcześniej to, dlaczego Moiraine chciała, by ją obserwował. Mężczyzna mógł oszaleć, jeśli próbował odgadnąć motywy Aes Sedai. Którą Moiraine musiała być, w przeciwnym bowiem razie Merean dawno już wlokłaby ją rozszochaną po korytarzach. Zaczekał dosyć długo, by zniknęły znowu z jego oczu, a potem cicho podkraść się do rogu i zerknął. Obie zniknęły, więc ruszył szybko przed siebie. Nie czas przejmować się Aes Sedai, uznał. Musi porozmawiać z Bukamą.

Jeżeli ucieknie, zrujnuje małżeńskie plany Edeyn. Jeżeli dostatecznie długo będzie jej unikał, może znajdzie innego męża dla Iselle. Jego ucieczka rozwieje sen Edeyn o odzyskaniu Malkier: kiedy ludzie odkryją, że go nie ma, poparcie dla niej zniknie jak mgła w południowym słońcu. Ucieczka zakończy wiele marzeń. Jednak mężczyzna, który wiózł przytroczone do pleców niemowlę, poświęcił się słusznym

marzeniom. Obowiązek jest niczym góra, a jednak dźwigać go trzeba.

Stanął przed szerokimi schodami z kamienną balustradą. Miał już ruszyć w dół, gdy nagle poczuł, że spada. Zdażył się tylko skulić, a potem toczył się po kolejnych stopniach, aż wreszcie zatrzymał się z łomotem na pokrytej płytkami posadzce. Upadek pozbawił jego płuca resztek powietrza. Przed oczyma latały mu kolorowe iskry. Z wysiłkiem zaczerpnął tchu, dźwignął się na rękach.

Jakby znikąd pojawili się służący, pomogli mu powstać na uginające się nogi, wszyscy w głos zachwalali szczęście, które musiało mu sprzyjać, że nie zabił się przy takim upadku, pytali, czy go zaprowadzić do jednej z Aes Sedai, by go Uzdrowiła. Spod zmarszczonych brwi wpatrywał się w klatkę schodową, mamrocząc coś w odpowiedzi, cokolwiek, byle tylko sobie poszli. Przyszło mu do głowy, że być może jeszcze nigdy w życiu tak się nie potłukł, jednak siniaki kiedyś znikną, a ostatnim, na czym mu teraz zależało, było znaleźć się w obecności siostry. Większość mężczyzn próbowałaby powstrzymać jakoś upadek i mieliby szczęście, gdyby skończyli z połową połamanych kości. Tam, w górze, coś schwyciło go za kostki. Coś uderzyło go w plecy. A mogło to być tylko jedno, choć wydawało się nieprawdopodobne: próbowała go zabić jakaś Aes Sedai.

– Lordzie Mandragoran! – Krępy mężczyzna w pasiastym kaftanie gwardii pałacowej próbował raptownie się zatrzymać iomalże nie upadł, ponieważ równocześnie chciał się uklonić. – Szukaliśmy cię wszędzie, mój panie! – zadyszał się. – Chodzi o twojego człowieka, Bukamę! Chodź szybko, mój panie! Może jeszcze żyje!

Przeklinając, Lan pobiegł za gwardzistą, pokrzykując na niego, by biegł szybciej, ale i tak przybyli za późno. Za późno dla człowieka, który niósł dziecko. Za późno dla marzeń.

Gwardziści tłoczyli się w wąskim przejściu tuż obok jednego z podwórców, na których ćwiczono z bronią. Rozstąpili się, by przepuścić Lana. Bukama leżał twarzą ku ziemi, krew zbierała się w kałużę wokół jego ust, pośrodku ciemnej plamy na jego kaftanie sterczała prosta drewniana rękojeść sztyletu. W otwartych oczach zamarło zaskoczenie. Lan ukląkł, zamknął te oczy i wymruczał modlitwę o ostatni uścisk matki witającej Bukamę w domu.

– Kto go znalazł? – zapytał, ale ledwie słyszał odpowiedzi wygłaszane jeden przez drugiego. Miał nadzieję, że Bukama odrodzi się w świecie, gdzie Żłoty Żuraw wciąż unosi się na wietrze, Siedem Wież stoi nietkniętych, a Tysiąc Jezior lśni niczym naszyjnik w promieniach słońca. Jak mogło się stać, że dopuścił do siebie kogoś na tyle, by mógł mu to zrobić? Bukama potrafił wyczuć obnażaną w jego pobliżu stal.

Tylko jedno nie pozostawiało wątpliwości: Bukama nie żył, ponieważ Lan wpłatał go w knowania Aes Sedai.

Lan podniósł się i poderwał do biegu. Jednak tym razem nie miał zamiaru uciekać. Miał wyraźny cel. I nie dbał o to, kto go zobaczy.

Słumione łomotanie w drzwi przedpokoju oraz wściekłe krzyki służących kobiet poderwały Moiraine z fotela, na którym siedziała, czekając. Wszystkiego zresztą się spodziewała, tylko nie tego. Objęła *saidara*, ruszyła do drzwi salonu, zanim jednak zdołała do nich dotrzeć, rozwarły się gwałtownie. Lan strzasnął z siebie trzymające go za ramiona kobiety w liberii, zatrzasnął im drzwi przed nosem, a potem, podparłszy je plecami, spojrzął w zaskoczone oczy Moiraine. Jego twarz znaczyły purpurowe obtarcia, poruszał się, jakby został straszliwie pobity. Z zewnątrz nie docierały żadne odgłosy. Cokolwiek zamierzał, tamte były pewne, że sama sobie z nim poradzi.

Absurdalnym zupełnie gestem ujęła rękojeść noża przy pasie. Wykorzystując Moc, mogła go spętać niczym dziecko, niezależnie od tego, jak był wielki, a jednak... Nie patrzył na nią wściekle. Z pewnością jego oczy nie ciskały gromów. Miała jednak ochotę się cofnąć. Nie miał ognia w oczach, tylko śmiertelne zimno. Pasował do niego ten ciemny kaftan z okrutnymi cierniami i bujnym złocistym kwieciami.

– Bukama nie żyje, znaleziono go z nożem w sercu – powiedział spokojnie. – A nie dalej jak godzinę temu ktoś próbował mnie zabić, używając Jedynej Mocy. Z początku myślałem, że musiała to być Merean, ale ostatni raz, kiedy ją widziałem, śledziła Iselle i nawet gdyby mnie widziała i chciała uśpić, nie miałyby na to czasu. Zresztą niewielu potrafi mnie zobaczyć, kiedy nie chcę być dostrzeżony, toteż nie sądzę, by jej się udało. Więc zostajesz tylko ty.

Moiraine zamrugła, ale jedynie po części spowodowała to pewność bijąca z jego głosu. Powinna wiedzieć, że ta głupia dziewczyna pójdzie prosto do Merean.

– Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, jak niewiele umyka uwagi siostr – poinformowała go. Szczególnie jeśli siostrę akurat wypełnia *saidar*. – Być może nie powinnam prosić, żeby Bukama obserwował Merean. Ona jest bardzo niebezpieczna. – Więc jednak tamta była Czarną Ajah; Moiraine nie miała już w tej kwestii żadnych wątpliwości. Siostry potrafiły zrobić okrutny przykład z tych, których przyłapały na podsłuchiwanie, nie zabijały ich jednak. Ale co ona ma z nią zrobić? Pewność nie stanowiła dowodu, nie przed trybunałem Tronu Amyrlin. A jeśli Sierin sama jest Czarną... Nie ma się czym przejmować, teraz i tak niczego nie zrobi. A właściwie co ta kobieta robiła, marnując czas z Iselle? – Jeżeli zależy ci na tej dziewczynie, sugeruję, byś ją natychmiast odnalazł i trzymał z dala od Merean.

Lan odchrząknął.

– Wszystkie Aes Sedai są groźne. W tej chwili jednak Iselle jest dostatecznie bezpieczna. Idąc tutaj, widziałem, jak spieszyła dokądś z Brysem i Dirykiem. Dlaczego Bukama zginął, Aes Sedai? W co ja go przez ciebie wplątałem?

Moiraine uniosła dłoń, nakazując mu milczenie, i drobną cząstką świadomości

poczuła zaskoczenie, kiedy posłuchał. Reszta jej umysłu pracowała na najwyższych obrotach. Merean z Iselle. Iselle z Brysem i Dirykiem. Merean próbowała zabić Lana. Nagle dostrzegła wzorzec, doskonały w każdej linii; nie miał najmniejszego sensu, była jednak pewna, że jest jak najbardziej prawdziwy.

– Diryk powiedział mi, że masz największe szczęście ze wszystkich ludzi na świecie – powiedziała, pochylając się ku niemu z napięciem. – Oby miał rację, dla własnego dobra. Gdzie uda się Brys, żeby go nikt nie zobaczył ani nie podsłuchał? – To musi być odosobnione miejsce, gdzie będzie się czuł swobodnie.

– W zachodnim skrzydle Pałacu jest taki jeden krużganek... – zaczął powoli Lan. I dodał szybciej: – Jeżeli Brysowi grozi niebezpieczeństwo, muszę zbudzić gwardię. – Na poły już się odwrócił, z dłonią na klamce.

– Nie! – powiedziała. Wciąż jeszcze nie wypuściła Prawdziwego Źródła, przygotowała się do splecenia Powietrza, by go zatrzymać w razie konieczności. – Księciu Brysowi nie spodobałoby się, gdyby gwardziści wpadli do środka, jeśli Merean zwyczajnie tylko z nim rozmawia.

– A jeśli nie rozmawia? – zapytał.

– Niczego nie potrafimy jej dowieść, Lan. Podejrzenia wobec słowa Aes Sedai.

Jego głowa podskoczyła w gniewie, a potem warknął coś na temat Aes Sedai, czego z całym rozmysłem postanowiła nie słyszeć.

– Zabierz mnie na ten krużganek, Lan – poprosiła. – Pozwól, by Aes Sedai zajęła się Aes Sedai. I pośpieszmy się. – Jeśli nawet Merean w ogóle miała zamiar rozmawiać, Moiraine nie oczekiwała, by rozmowa trwała długo.

Lan rzeczywiście wziął sobie jej słowa do serca – długie nogi migotały w biegu. Moiraine mogła tylko podkasać suknie i pobiec za nim, ignorując spojrzenia i mamrotanie służby oraz innych ludzi mijanych na korytarzu, dziękowała tylko Światłości, że Lan zanadto jej nie wyprzedza. Pozwoliła, by w biegu wypełniła ją Moc, póki słodycz i radość nie osiągnęły granic bólu. Próbowała jednocześnie obmyślić, co zrobi, co będzie w stanie zrobić, kobiecie dysponującej znacznie większą siłą niż ona, kobiecie, która była już Aes Sedai sto lat przed tym, zanim urodziła się prababka Moiraine. Żałowała, że aż tak bardzo się boi. Żałowała, że nie ma przy niej Siuan.

Przemknęli szaleńczo przez lśniące komnaty reprezentacyjne, zastawione posągami korytarze i nagle odgłosy Pałacu zostały za nimi, wypadli na otwartą przestrzeń długiego, szerokiego na dwadzieścia kroków wykładanego kamieniami krużganka z widokiem na rozpościerające się daleko w dole dachy miasta. Zimny wiatr dał, jakby zwiastował burzę. Merean była tutaj, otoczona poświatą *saidara*, a Brys i Diryk stali przy poręczy, skręcając się w bezowocnej walce przeciwko więzom i kneblom Powietrza. Iselle spod zmarszczonych brwi spoglądała na Księcia

i jego syna, a ku jej zaskoczeniu, w głębi krużganka stał Ryne z pałającymi oczyma.

– ...nie udało mi się przyprowadzić ci Diryka samego, bez ojca – mówiła zdenerwowana Iselle. – Upewniłam się, że nikt o niczym nie wie, ale dlaczego...?

Splatając tarczę Ducha, Moiraine natarła na Merean, ciskając przeciwko niej każdą cząstkę Mocy i wbrew wszelkiej nadziei wierząc, że uda jej się odciąć ją od Źródła. Tarcza uderzyła i rozsypała się w drzazgi. Merean była zbyt silna, zaczerpnęła zbyt wiele, aby Moiraine mogła coś zdziałać.

Błękitna siostra – Czarna siostra – nawet nie mrugnęła.

– Dobrze zrobiłeś, zabijając szpiega, Ryne – powiedziała spokojnie, kiedy splotła knebel z Powietrza, aby zatkać Iselle usta, a potem związała ją, sztywną, z wytrzeszczonymi oczyma. – Zobaczymy, czy poradzisz sobie również z młodszym. Mówiłeś, że jesteś lepszym szermierzem.

Z pozorów wszystko wydarzyło się równocześnie. Ryne ruszył naprzód, krzywiąc się, dzwoneczki w jego warkoczach zaśpiewały cichutko. Lan ledwie zdążył wydobyć miecz i się zastawić. A zanim rozległy się pierwsze szczęknięcia stali o stal, Merean uderzyła na Moiraine tym samym splotem, którego wcześniej użyła przeciwniczka, lecz znacznie silniejszym. Zdjęta krańcowym przerażeniem Moiraine zrozumiała, że być może Merean rzeczywiście dysponuje dostateczną siłą, by odgrodzić ją od *saidara*, mimo że czerpała zeń tyle, ile była w stanie. Szaleńczo uderzyła Powietrzem i Ogniem, Merean jęknęła, gdy uderzyły ją odcięte sploty. Zyskawszy trochę czasu, Moiraine próbowała przeciąć więzy Diryka oraz pozostałych, zanim jednak jej sploty dotknęły splotów Merean, Czarna zdążyła przejść do kontrataku. Tym razem stworzona przez nią tarcza omal nie osiągnęła celu, zanim Moiraine zdążyła ją zniszczyć. Jej żołądek próbował splatać się w supeł.

– Zbyt często pojawiaasz się na mojej drodze, Moiraine – oznajmiła Merean takim tonem, jakby prowadziły zwyczajną towarzyską pogawędkę. I miała taką minę, jakby nic się nie działo: pogodna, macierzyńska, w najmniejszym stopniu nie zaniepokojona. – Obawiam się, że muszę cię wypytać, dlaczego i jak to się dzieje. – Moiraine właśnie udało się odciąć splot Ognia, który spaliłby jej suknie i zapewne sporą część skóry, a Merean uśmiechnęła się niczym matka rozbawiona psotą córeczki. – Nie martw się, dziecko. Uzdrowię cię, żebyś mogła odpowiedzieć na wszystkie moje pytania.

Jeżeli Moiraine miała jeszcze jakieś resztki wątpliwości, czy Merean jest Czarną Ajah, ten splot Ognia upewnił ją ostatecznie w słuszności podejrzeń. W ciągu następnych paru chwil uzyskiwała kolejne dowody: sploty, od których iskry zatańczyły po jej sukni, a włosy podniosły się na głowie, sploty, które kazały jej rozpaczliwie łykać powietrze, którego nie było tam, gdzie były jej usta, sploty, których nie potrafiła rozpoznać, była jednak pewna, że zostawiłyby ją połamaną i pokrwawioną, gdyby

tylko na nią opadły, gdyby nie zdążyła ich przeciąć...

Kiedy jednak mogła, wciąż próbowała przeciąć więzy pętające Diryka i pozostałych, oddzielić tarczą Merean, a nawet ją znokautować. Wiedziała, że walczy o życie – umrze, jeśli Czarna zwycięży, umrze teraz albo po tym, jak już zostanie poddana przesłuchaniu – ale nawet na moment nie brała pod uwagę możliwości wykorzystania choćby szczeliny w wiążących ją Przysięgach. Sama zresztą miała pytania, które chciałaby zadać tej kobiecie, a od odpowiedzi na nie mogła zależeć przyszłość świata. Na nieszczęście było ją stać niemal tylko na samoobronę, a i to zawsze na krawędzi ostatecznego załamania. W miejscu żołądka rzeczywiście tkwił ciasny supeł i próbował się zawiązać następny. Mimo że trzymała troje ludzi związanych, Merean była dla niej równorzędnym przeciwnikiem, a może nawet lepszym. Gdyby tylko Lan zdołał jakoś ją rozproszyć.

Pośpieszne spojrzenie na drugą walkę ukazało jej próżność tych nadziei. Lan i Ryne tańczyli formy, klingi ich mieczy były niczym trąby powietrzne, lecz jeśli ich umiejętności różniły się choć o włos, porównanie wypadało na korzyść Ryne'a. Po policzku Lana spływała strużka krwi.

W ponurym milczeniu Moiraine wyteżęła resztki sił, skoncentrowana z całych sił, by ignorować chłód. Drżąc, zaatakowała Merean, zasłoniła się i zaatakowała znowu, broniła się i uderzała na przemian. Gdyby tylko udało jej się ją zmęczyć albo...

– Doprawdy, to już trwa nazbyt długo, nie sądzisz, dziecko? – powiedziała Merean.

Diryk wyleciał w powietrze i walcząc z więzami, których nie potrafił dostrzec, powoli dryfował nad poręczą. Głowa Brysa podążyła za synem, jego usta poruszały się, usiłując wypluć niewidzialny knebel.

– Nie! – krzyknęła Moiraine. Rozpaczliwie wyrzuciła strumienie Powietrza, próbując ściągnąć chłopca z powrotem w bezpieczne miejsce. Merean chlasnęła je, kiedy tylko uwolniła swoje sploty trzymające chłopca. Diryk runął, zawodząc cicho, a w głowie Moiraine eksplodował biały płomień.

Zupełnie oszołomiona otworzyła oczy, cichnący krzyk chłopca wciąż jeszcze echem rozbrzmiewał w jej uszach. Leżała na plecach na kamiennej posadzce krużganka, kręciło jej się w głowie. Zanim przestało, zrozumiała, że ma równe szanse objęcia *saidara*, jak kot zaśpiewać. Chociaż teraz i tak nie robiło to większej różnicy. Widziała tarczę, którą otoczyła ją Merean, a nawet słabsza kobieta potrafiła utrzymać raz założoną tarczę. Próbowała się podnieść, upadła, wsparła na łokciu.

Minęły w istocie tylko chwile. Lan i Ryne wciąż tańczyli swój śmiertelny taniec do wtóru szcękę stali. Brys, zupełnie zeszytywniały, i to nie tylko z powodu trzymających go więzów, patrzył na Merean z nienawiścią tak niewzruszoną, iż wydawało się, że sama siła gniewu może rozerwać jego więzy. Iselle wyraźnie drżała,

pociągając nosem, płacząc i patrząc szeroko rozwartymi oczyma na miejsce, gdzie spadł chłopiec. Gdzie spadł Diryk. Moiraine zmusiła się, by wypowiedzieć w myślach jego imię, drgnęła na wspomnienie roześmianej radości. Trwało to tylko chwilę.

– Poczekasz na mnie chwilę, jak mniemam – powiedziała Merean, odwracając się od Moiraine. Nieruchome ciało Brysa uniosło się ponad balustradę krużganka. Wyraz twarzy krępego mężczyzny nie zmienił się nawet na moment, spojrzenie skrzeplonych nienawiścią oczu wbijał w Merean.

Moiraine próbowała podnieść się na kolana. Nie była w stanie przenieść. Nie została jej nawet odrobina odwagi, żadnych sił. Tylko determinacja. Brys przeleciał ponad balustradą. Moiraine powstała. Determinacja. Z grymasem najczystszej nienawiści wciąż wykrzywiającej twarz Brys spadł, nie wydawszy nawet jęku. To się musi skończyć. Iselle uniosła się w powietrze, ciskając się szaleńczo, żyły na jej gardle nabrzmiały, gdy próbowała wrzasnąć przez knebel. To musi się zaraz skończyć! Zataczając się, Moiraine postąpiła chwiejnie kilka kroków i wbiła nóż w plecy Merean. Poczowała, jak krew ścieka jej po dłoniach.

Razem padły na kamienne płyty krużganka, poświata otaczająca Merean nikła, w miarę jak uchodziło z niej życie, tarcza oddzielająca Moiraine również stopniowo słabła. Iselle wrzeszczała, kołysząc się tam, gdzie cisnęły ją sploty Merean, na kamiennej balustradzie. Najwyższym wysiłkiem woli zmuszając się do działania, Moiraine przekroczyła ciało Merean i schwyciła słabnącą dłoń Iselle w tej samej chwili, gdy pantofle dziewczyny ześlizgnęły się z kamienia.

Szarpięcie przyciągnęło Moiraine aż do samej balustrady, wisiała teraz przyciśnięta do niej brzuchem, patrząc w dół na Iselle trzymaną tylko w jej śliskim od krwi uchwycie, ponad przepaścią, która zdawała się nie mieć dna. Moiraine mogła ją tylko trzymać, cała drżąc z wysiłku. Jeżeli spróbuje wciągnąć dziewczynę, spadną obie. Twarz Iselle była wykrzywiona, jej usta niczym rozwarta szczelina. Ręka ześlizgnęła się odrobinę w uścisku Moiraine. Siłą narzucając sobie spokój, Moiraine sięgnęła do Źródła... i nic. Spoglądanie w dół na te odległe dachy w niczym nie pomagało na zawroty głowy. Spróbowała znowu, ale to było jak próba zaczerpnięcia wody rozczapierzonymi palcami. Może uda jej się uratować jedno z trojga, choćby była to ta najbardziej bezużyteczna osoba. Tłumiąc ogarniające ją zawroty głowy, przemocą próbowała sięgnąć do *saidara*. I wtedy dłoń Iselle wyślizgnęła się z jej pokrytych krwią palców. Moiraine mogła tylko patrzeć na upadek tamtej, z dłonią wciąż wyciągniętą, jakby jeszcze wierzyła, że ktoś zdoła ją uratować.

Czyjeś ramię odciągnęło ją od balustrady.

– Nie przyglądaj się śmierci, jeśli nie musisz – powiedział Lan, stawiając ją na nogi. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie, długa rana biegła wzdłuż nasiąkniętego krwią rękawa, ukazując mięso pod skórą, prócz tego dorobił się cięcia na głowie,

z którego płynęła cienka strużka krwi, i jeszcze paru innych, drobniejszych skaleczeń. Ryne leżał na plecach w odległości dziesięciu kroków, patrząc w niebo pełnymi zaskoczenia niewidzącymi oczyma. – Czarny dzień – mruknął Lan. – Tak czarny, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem..

– Chwilę – powiedziała. – Zbyt kręci mi się w głowie, żebym daleko zaszła. – Kolana jej drżały, gdy podchodziła do ciała Merean. Nie będzie żadnych odpowiedzi. Czarne Ajah nadal będą spiskować w ukryciu. Pochyliła się, wyciągnęła z rany swój nóż i wytarła o suknie tamtej.

– Zimna jesteś, Aes Sedai – bezbarwnym głosem stwierdził Lan.

– Tak zimna, jak być muszę – odparła. Krzyk Diryka wciąż jeszcze brzmiał w jej uszach. W tle zamigotała twarz Iselle. – Wygląda na to, że Ryne mylił się, jak przystało na Sprzymierzeńca Ciemności. Byłeś lepszy od niego.

Lan nieznacznie pokręcił głową.

– On był lepszy. Ale uznał, że z jedną tylko ręką jestem skończony.

Nigdy nie zrozumiał. Poddajesz się dopiero wtedy, gdy nie żyjesz.

Moiraine pokiwała głową. Poddajesz się dopiero wtedy, gdy nie żyjesz. Tak.

Minęło trochę czasu, zanim w głowie rozjaśniło jej się do tego stopnia, by zdolna była znowu objąć Źródło, Lanowi musiała pozostawić poinformowanie *shatayan*, że Brys i Diryk nie żyją, zanim się rozejdzie, iż ich ciała znaleziono na dachach domów. Zrozumiałe, że jeszcze mniej chętnie miał ochotę poinformować lady Edeyn o śmierci jej córki. Moiraine również martwiła się o czas, choć niezupełnie z tych samych powodów. Uzdrawiła go tak szybko, jak tylko potrafiła. Aż mu dech zaparło od wstrząsu, jakim przeszły go skomplikowane sploty Ducha, Powietrza i Wody, które zespoliły jego rany, łącząc rozerwane ciało w pozbawioną nawet śladu blizny całość. Jak to się działo z każdym, kogo poddano Uzdrawieniu, był potem słaby, tak słaby, że przez kilka chwil bezradnie łapał oddech, opierając się o kamienną balustradę. Przez jakiś czas donikąd nie będzie zdolny pobiec.

Moiraine ostrożnie przeniosła ciało Merean nad balustradą, a potem opuściła trochę, zbliżając je do stoku góry. Ciało Czarnej siostry objęły strumienie Ognia, a ułamek sekundy później rzeczywiste płomienie tak gorące, że właściwie nie dawały dymu, tylko drżało powietrze oraz od czasu do czasu rozlegał się trzask pękającej skały.

– Co ty...? – zaczął Lan, ale natychmiast zmienił pytanie: – Dlaczego?

Moiraine, częściowo wyrwana z koncentracji, poczuła narastające ciepło, ruch powietrza gwałtowny jak nad paleniskiem.

– Nie ma żadnego dowodu, że była Czarną Ajah, w oczach świata dalej pozostaje Aes Sedai. – Biała Wieża potrzebowała w dalszym ciągu swej zbroi sekretów, teraz nawet bardziej niż wówczas, gdy zguba spotkała Malkier, jednak nie mogła mu tego

powiedzieć. Jeszcze nie. – Nie mogę skłamać na temat tego, co się tutaj wydarzyło, ale mogę milczeć, gdy będą mnie pytać. Czy ty również będziesz milczał, czy też może postanowisz wykonać robotę Cienia?

– Jesteś bardzo twardą kobietą – oznajmił na koniec. Nic więcej już nie powiedział, ale tego było dosyć.

– Jestem tak twarda, jak być muszę – odparła. Krzyk Diryka. Twarz Iselle. Zostało jeszcze ciało Ryne'a, którego należało się pozbyć, oraz krew. Będzie tak twarda, jak być musi.

Następny rano zastał Aesdaishar pogrążone w żałobie, białe sztandary powiewały z każdego wyższego punktu jego zabudowań, służący przed pracą obwiązali ramiona długimi pasami białej materii. Plotki krążące po mieście już pełne były znaków zapowiadających tamte śmierci, komet na nocnym nieboskłonie, ognia na niebie. Ludzie swoim zwyczajem włączali to, co dane im było widzieć, w ramy tego, co wiedzieli i w co chcieli wierzyć. Zniknięcie prostego żołnierza i nawet Aes Sedai umknęło uwagi pogrążonych w przemożnym smutku.

Wracając z komnaty Merean, gdzie przed chwilą zniszczyła cały jej dobytek – po przetrząśnięciu go w poszukiwaniu jakichś wskazówek mogących naprowadzić na ślad Czarnych sióstr – Moiraine natknęła się na Edeyn Arrel, która sunęła korytarzem w białej szacie, z włosami przyciętymi nierówno i krótko. Szeptane plotki głosiły, że chce się wycofać ze spraw tego świata. Moiraine sądziła, że to już się stało. Oczy tamtej patrzyły nieco nieprzytomnie z wymizerowanej i postarzałej twarzy. Do pewnego stopnia przypominała ona Moiraine twarz jej córki, takiej, jaka wbiła jej się w pamięć.

Siuan aż wyskoczyła z fotela, kiedy Moiraine weszła do swoich apartamentów. Miała wrażenie, że od ich ostatniego spotkania minęło wiele tygodni.

– Wyglądasz, jakbyś sięgnęła do ładowni z rybami i znalazła tam rybokła – jęknęła Siuan. – Cóż, nie ma się czemu dziwić. Zawsze nienawidziłam żałoby po ludziach, których znałam. W każdym razie możemy ruszać, gdy tylko będziemy gotowe. Rahien urodził się na farmie prawie dwie mile od Góry Smoka. Merean nawet nie zbliżyła się do niego, przynajmniej nie tego ranka. Nie przypuszczam, by zrobiła mu krzywdę, kierując się zwykłym podejrzeniem, nawet jeśli okazałaby się Czarną.

Nie ten. Jakimś sposobem Moiraine oczekiwała właśnie takich wieści.

– Merean już nikomu nie robi krzywdy, Siuan. Uruchom ten swój świetny umysł i spróbuj rozwiązać dla mnie zagadkę. – Rozsiadła się w fotelu i zaczęła opowiadać wszystko od końca, nie zwracając uwagi na głośne westchnienia Siuan i żądania bardziej szczegółowej relacji. To było niemalże jak przeżywanie wszystkiego od nowa. Kiedy dotarła wreszcie do początku, do tego, co spowodowało całą

konfrontację, poczuła bezmierną ulgę. – Przede wszystkim chciała, żeby zginął Diryk, Siuan. Zabiła go najpierw. I próbowała zabić Lana. Jedynym, co ci dwaj mieli ze sobą wspólnego, było niezwykle szczęście. Diryk przeżył upadek, który powinien był go zabić, wszyscy też mówią, że Lan ma największe szczęście ze wszystkich żyjących, w przeciwnym razie Ugór powinien był go zabić już wiele lat temu. To wszystko układa się w pewien wzór, ale w moich oczach wygląda on na czyste szaleństwo. Być może nawet twój kowal stanowi jego część. Oraz Josef Najima, wtedy w Canluum, o ile się orientuję. On również miał szczęście. Rozwiąż to dla mnie, jeśli potrafisz. Sądzę, że musi to mieć jakieś znaczenie, nie mogę go jednak dostrzec.

Siuan przechadzała się w tę i we w tę, energicznymi wymachami nóg rozkopując fałdy spódnicy i pocierając policzek, mruzczała o „mężczyznach mających szczęście” oraz o „zniecka wyniesionym kowalu” i inne jeszcze rzeczy. Moiraine nie potrafiła ich dosłyszeć. Nagle przyjaciółka zatrzymała się jak wryta i powiedziała:

– Nawet nie zbliżyła się do Rahiena, Moiraine. Czarne Ajah wiedziały, że Smok się Odrodził, ale za cholere nie wiedziały kiedy! Być może Tamra nie zdołała im tego zdradzić albo były zbyt brutalne i umarła, zanim to z niej wydarły. To musi być właśnie tak! – Radość, że udało jej się to zrozumieć, zmieniła się nagle w przerażenie. – Światłości! Zabijają każdego mężczyznę i chłopca, który być może zdolny jest przenosić! Niech szeszne, mogą zginąć tysiące, Moiraine. Dziesiątki tysięcy.

To rzeczywiście miało sens, chociaż przerażający. Mężczyźni, którzy potrafili przenosić, rzadko kiedy wiedzieli, co właściwie robią, przynajmniej na początku. Zrazu często wydawało się, jakby po prostu mieli niesamowite szczęście. Wydarzenia układały się po ich myśli, często też, jak to było z kowalem, stawali się ludźmi znanymi, i to zupełnie nieoczekiwanie. Siuan miała rację. Czarne Ajah wszczęły rzeź.

– Ale one nie wiedzą, że należy szukać młodego chłopca – powiedziała Moiraine. Tak twarda, jak być musi. – Niemowlę nie będzie zdradzać żadnych oznak. – W najlepszym razie przynajmniej nie skończy szesnastu lat. Żaden mężczyzna, po którym został jakiś ślad w archiwach, nie był zdolny do przenoszenia, dopóki nie osiągnął tego wieku, zdolności niektórych ujawniały się nawet dekadę albo i więcej lat po tym. – Mamy więcej czasu, niż nam się wydawało. Chociaż nie jest go dość, by zachowywać się beztrząsco. Każda siostra może być Czarną. Sądzę, że jest nią Cadsuane. Wiedzą, że inne też szukają.

Jeżeli jedna z poszukujących Tamry zlokalizuje chłopca, a potem tamte znajdą ją wraz z nim, albo jeśli postanowią przesłuchać jedną, zamiast zabijać tak szybko, jak tylko im się spodoba... Siuan patrzyła na nią nieruchomym spojrzeniem.

– Wciąż stoi przed nami zadanie – dodała Moiraine.

– Wiem – odparła powoli Siuan. – Po prostu nigdy nie przyszło mi to do głowy. Cóż, kiedy jest praca do wykonania, ciągniesz sieci lub patroszysz rybę – przytoczyła

powiedzenie, brakowało mu jednak siły. – Przed południem możemy już być w drodze do Arafel.

– Ty wracasz do Wieży – powiedziała Moiraine. Razem i tak nie będą szukać dużo szybciej niż w pojedynkę, a jeśli i tak będą musiały się rozdzielić, cóż lepszego można było wymarzyć dla Siuan niżli pracę u Cetalii Delarme przy przeglądaniu raportów ze wszystkich siatek szpiegowskich Błękitnych Ajah? Błękitne nie tworzyły szczególnie licznej Ajah, jednak każda siostra gotowa była przyznać, że ich siatka szpiegowska większa jest od wszystkich pozostałych. Kiedy Moiraine będzie polować na chłopca, Siuan może się dowiedzieć, co się dzieje we wszystkich krainach, a wiedząc, czego szuka, może znaleźć każdy ślad działalności Czarnych Ajah lub Smoka Odrodzonego. Choć Siuan potrafiła dostrzec sens jakiegoś przedsięwzięcia, kiedy już się go jej okazało, teraz cała sprawa kosztowała Moiraine sporo wysiłku, a kiedy przyjaciółka wreszcie się z nią zgodziła, uczyniła to doprawdy w wyjątkowo nieprzyjemny sposób.

– Cetalia każe mi uszczelniać kominy za to, że wyjechałam i nie wróciłam odpowiednio szybko – narzekała. – Niech szczenę! Powiesi mnie w Wieży na słupku do suszenia bielizny! Moiraine, tam się intryguje tak strasznie, że w środku zimy można wypocić z siebie kubły potu! Nienawidzę tego! – Ale już przeszukiwała kufry, żeby sprawdzić, co powinna wziąć na powrotną drogę do Tar Valon. – Zakładam, że ostrzegłaś tego Lana. Wydaje mi się, że on sobie na to zasłużył, niezależnie od tego, ile na tym może skorzystać. Słyszałam, że wyjechał godzinę temu, kierując się ku Ugorowi, a jeśli to go nie zabiło... Dokąd biegniesz?

– Nie skończyłam jeszcze swoich spraw z tym mężczyzną – rzuciła Moiraine przez ramię. Decyzję, co z nim zrobi, podjęła już pierwszego dnia, gdy go zobaczyła, i teraz zamierzała wszystko doprowadzić do końca.

W stajni, gdzie trzymano Strzałę, srebrne marki rzucone niedbale niczym miedziaki sprawiły, że klacz została osiodłana i okiełznana, niemal zanim jeszcze monety dotknęły ziemi. Po chwili Moiraine już wskakiwała na siodło zwierzęcia, zupełnie nie dbając o to, że zadarły jej się spódnice i że ma obnażone aż do kolan nogi. Ścisnęła łydkami boki wierzchowca i pognała galopem ku bramom Aesdaishar, a potem dalej na północ przez miasto. Ludzie umykali jej z drogi, raz tylko musiała osadzić Strzałę, by wykonać czysty skok ponad wozem, którego woźnica zbyt wolno zjeżdżał na bok. Za jej plecami nabrzmiwał zamęt, niosły się krzyki i przybywało wyrażających pięści.

Na drodze wychodzącej z miasta na północ, zatrzymała się na chwilę, by rozpytać woźniców jadących w przeciwnym kierunku, czy nie wiedzieli Malkieri na siwym ogierze, i poczuła co najmniej ulgę, gdy po raz pierwszy usłyszała odpowiedź twierdzącą. Przecież ten mężczyzna po tym, jak przekroczył most ponad fosą, mógł

pojechać co najmniej w pięćdziesięciu kierunkach. A mając nad nią godzinę przewagi... Złapie go jednak, choćby miała za nim gonić do samego Ugoru!

– Malkieri? – Kościsty kupiec w ciemnoniebieskim płaszczu spojrzał na nią zaskoczony. – Cóż, moi strażnicy powiedzieli mi, że jest jeden na górze. – Odwrócił się na koźle i wskazał porośniętą trawą wzgórze jakieś sto kroków od drogi. Na jego szczycie wyraźnie rysowały się sylwetki dwóch koni, w jednym łatwo można było rozpoznać zwierzę juczne. Na lekkim wietrze wiła się cienka smużka dymu.

Lan ledwie uniósł wzrok, kiedy zsiadała z konia. Klęcząc obok szczątków niewielkiego ogniska, rozgrzebywał popioły długą gałązką. Dziwne, ale w powietrzu unosiła się woń palonych włosów.

– Miałem nadzieję, że już ze mną skończyłaś – powiedział.

– Jeszcze nie całkiem – odparła. – Palisz swoją przyszłość? Wielu się zasmuci, jak mniemam, kiedy się okaże, że zginąłeś na Ugorze.

– Palę moją przeszłość – oznajmił, wstając – Palę wspomnienia. Naród. Żółty Żuraw już nigdy nie wzięci. – Zaczął stopą zagarniać ziemię na ognisko, lecz nagle się zawahał. Pochylił się, by nabrać w dłoń wilgotnej gleby, i niemal ceremonialnie ją rozsypał. – Nikt po mnie nie będzie się smucił, kiedy umrę: ci, którzy by mogli, dawno już nie żyją. A poza tym wszyscy ludzie umierają.

– Tylko głupcy wybierają śmierć, zanim po nich przyjdzie. Chcę, byś został moim Strażnikiem, Lanie Mandragoran.

Patrzył na nią, nawet nie mrugnawszy, w końcu pokręcił głową.

– Powinienem był się domyślić, że o to chodzi. Mam wojnę do stoczenia, Aes Sedai, i żadnej ochoty, by pomagać ci w snuciu pajęczyn Białej Wieży. Znajdź sobie kogoś innego.

– Toczę tę samą wojnę co ty, przeciwko Cieniowi. Merean była Czarną Ajah. – Potem opowiedziała mu wszystko, począwszy od Przepowiedni Kitary w obecności Zasiadającej na Tronie Amyrlin oraz dwu Przyjętych, a skończywszy na tym, czego się domyśliły razem z Siuan. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, większość z tego by przemilczała, jednak między Strażnikiem a jego Aes Sedai niewiele dawało się utrzymać sekretów. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, osłabiłaby grozę i wymowę swej opowieści, ale nie sądziła, by przerażali go ukryci wrogowie, nawet jeśli byli nimi Aes Sedai. – Rzekłeś, że pogrzebałeś swoją przeszłość. Niech więc przeszłość zabierze sobie swe popioły. To jest ta sama wojna, Lan. Najważniejsza bitwa, ale w tej samej wojnie. Tę jednak możesz wygrać.

Przez dłuższą chwilę stał, patrząc na północ, w kierunku Ugoru. Nie miała pojęcia, co pocnie, jeśli on odmówi. Powiedziała mu więcej niż komukolwiek prócz swego Strażnika.

Nagle odwrócił się, błysnął wyciągany z pochwy miecz i przez sekundę myślała,

że chce ją zaatakować. Zamiast tego jednak padł na kolana, miecz spoczął na płask w dłoniach.

– Na imię mej matki, obnażę go, kiedy powiesz „wyciągaj”, i schowam do pochwy, gdy powiesz „schowaj”. Na imię mej matki, przybędę, gdy powiesz „przybądź”, i odejdę, kiedy rzekniesz „odejdz”. – Pocałował klingę i spojrzał na nią w oczekiwaniu. Nawet klęcząc, roztaczał wokół siebie taką atmosferę, która króla zasiadającego na własnym tronie czyniłaby niepozornym. Dla jego własnego dobra musiała nauczyć go nieco pokory. I dla dobra jego stawów.

– Jest jeszcze coś – powiedziała, kładąc dłonie na jego głowie.

Ten splot Ducha był jednym z najbardziej skomplikowanych, jakie znały Aes Sedai. Oplotła go nim ściśle, sprawiła, że zatopił się w jego ciele, zniknął. Nagle stała się świadoma jego obecności w ten sposób, jak to zwykle bywa między Aes Sedai a ich Strażnikami. Jego uczucia były niby niewielki węzeł gdzieś w głębi jej głowy, wszystkie zabarwione twardą jak stal determinacją, ostrą niczym klinga jego miecza. Poznała stłumiony ból dawnych obrażeń, zdławiony i ignorowany. Będzie odtąd zdolna czerpać z jego siły, jeśli zajdzie taka potrzeba, znajdzie go niezależnie od tego, jak daleko by odszedł. Połączyła ich więź zobowiązań.

Powstał zgrabnie, schował miecz do pochwy, popatrzył na nią.

– Ludzie, których tam nie było, nazwali ją Bitwą Lśniących Murów – powiedział zniechęcony. – Ludzie, którzy tam walczyli, mówią na nią Krwawy Śnieg. Nic więcej. Wiedzą, że chodzi o bitwę. Rankiem pierwszego dnia dowodziłem prawie pięcioma setkami żołnierzy. Kandoranie, Saldaeanie, Domani. Wieczorem trzeciego dnia połowa z nich była martwa lub ranna. Gdybym dokonał innych wyborów, niektórzy z tych ludzi wciąż by żyli. A inni byłiby martwi zamiast nich. Na wojnie odmawiasz modlitwę za poległych i atakujesz dalej, ponieważ za następnym horyzontem zawsze czeka cię kolejna walka. Odmów więc modlitwę za poległych, Moiraine Sedai, i ruszaj.

Zaskoczona,omalże nie zagapiła się na niego z rozdziawionymi ustami. Zapomniała, że więź zobowiązań działa w obie strony. On również poznał jej uczucia i najwyraźniej potrafił zrozumieć je znacznie lepiej, niż ona była w stanie pojąć jego emocje. Po chwili skinęła głową, chociaż nie miała pojęcia, jak wielu modlitw będzie trzeba, aby oczyścić myśli.

Podał jej wodze Strzały i zapytał:

– Dokąd pojedziemy najpierw?

– Z powrotem do Chachin – odparła. – A potem do Arafel i... – Zostało już tak niewiele nazw, że nietrudno było je wszystkie wymienić. – Cały świat, jeśli będzie trzeba. Wygramy tę bitwę albo świat zginie.

Ramię w ramię zjechali ze wzgórza, potem skręcili na północ. Niebo za nimi

pociemniało, przetoczył się po nim grzmot. Kolejna spóźniona burza spływała na świat z Ugoru.

Przełożyła Katarzyna Karłowska